CENA EGZEMPLARZA 1 sh.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 42/121 Londyn, dnia 16 października 1949 CENA 1 sh.

W JEDNYM z najbliższych numerów ŻYCIA rozpoczniemy druk „Lenina" Wacława Grubińskiego, sztuki, która obiegła sceny polskie i europejskie i była także grana przed 25 laty w Londynie. Jak wiadomo za jej napisanie autor został skazany przez bolszewików na karę śmierci. W następnym numerze W. Grubiński opowie Czytelnikom ŻYCIA interesujące szczegóły, związane z wystawieniem i dziejami „Lenina". W następnym również numerze ukaże się omówienie Janusza Rakowskiego dzieła prof. Stanisława Gryziewicza „Środki polityki gospodarczej" oraz studium Wita Tarnawskiego p. t. „Dramat prometejskiej litości", poświęcone głośnej opowieści G. Greene'a „Sedno sprawy" (The heart of the matter). — W tym numerze na stronie 5 szkic Józefa Jasnowskiego p.t. „Poeci pierwszej emigracji polskiej w Anglii (1830 — 1863)", na str. 6 zaś wybór wierszy tych poetów, których autor wymienia w swym artykule.

MARIA CZAPSKA

NIM KUR ZAPIEJE

KAWIARNIA, w której miałam się spotkać z Wandą, mieściła się na piętrze w dawnej antykwarni Mieczysława Sterlinga, róg Chmielnej i Nowego Świata.

Dwie salki, zawieszone starymi, sczerniałymi obrazami w ciężkich złoconych ramach wypełniały gęsto stoliki, pomiędzy nimi stało kilka naturalistycznych rzeźb, w najgorszym stylu XIX wieku. Na małej estradzie w głębi fortepian. Dwa razy na tydzień najlepsi nasi muzycy koncertowali na tej estradzie. Chopin był od początku okupacji niemieckiej surowo wzbroniony, ale od czerwca 1941 roku t. j. od ofensywy na Rosję, cenzura skreśliła też z programów muzycznych kompozytorów rosyjskich, w wyjątkowej dotychczas łasce.

W programie tego popołudnia późnej jesieni, tegoż 41-go roku, była Chaconne Bacha i koncert Mozarta, Nr. XVII, w interpretacji kwartetu Umińskiej z fortepianem.

Zastałam już Wandę przy stoliku. Zapalono światła i dwie jasne blondynki w koronkowych fartuszkach szczelnie zaciemniały okna. Goście zamawiali kawę lub herbatę, raczej symbolicznie, bo wszyscy schodzili się tu dla muzyki a szyld kawiarni miał tylko uprawniać istnienie tej małej koncertowej estrady.

W czasie koncertu obowiązywała też zupełna cisza.

Wanda miała na sobie swój gruby czarny sweter i ciemną chusteczkę, zawiązaną pod brodą; jej uśmiech w połączeniu ze spojrzeniem, miał przejmującą ekspresję, odbijał naprawdę miłość, ową caritas, **cierpliwą i łaskawą która się weseli z prawdy... wszystkiego się spodziewa, wszystko przetrwa. ...** —

„Słyszała pani, — rzuciła mi na przywitanie — nasze wojsko formuje się w Rosji! — Gdybym nie zbiegła im wtedy z tych lasów ihumeńskich... to już bym może była przy wojsku! — głos jej zadrżał żalem.

— Albo w innym więzieniu — zauważyłam.

O formowaniu wojska polskiego w ZSSR doniosło nam londyńskie radio a jedno z pism podziemnych podało odezwę jeńców z Griazowca, tego jedynego obozu, z którego nas dochodziły do maja bieżącego roku regularne wieści.

W stylu tej odezwy, jej akcentach, wysłowieniu szukaliśmy głosów tej garści ocalałych i ponownie zamilkłych. Przestrzenie nieogarnięte dzieliły nas od tych tajemniczych miejscowości, wymienianych w radiowych komunikatach: Tocka, Buzułuku, Kujbyszewa... Głuche strefy zgliszcz i pobojowisk.

W środku sali, ale blisko drzwi wejściowych zajął stolik starszy mundurowy Niemiec; miał sucne, żłobione, rysy intelektualisty, oczy przysłonięte okularami w pospolitej metalowej oprawie i zapadłe, surowe usta. „To nasz stały klient" — szepnęła mi jedna z młodziutkich kelnerek o porcelanowych oczach lalki.

Obecność tego munduru na sali ciążyła nam nieznośnie. Spojrzenia publiczności omijały jego stolik, jakby puste miejsce, on jednak w kręgu niezajętych krzeseł zdawał się trwać w sferze tajemniczego zagrożenia, rzucał niecierpliwe spojrzenia na estradę, przegarniał siwiejącego jeża i przygryzał nerwowo pusty munsztuk, który trzymał w garści.

Otwarto fortepian, światła przygasły i pierwsze akordy Bacha wypełniły mroczną salkę.

Bardzo różnie doznają ludzie muzyki. Od znawców o wyrobionej pamięci muzycznej, doskonałym lub absolutnym słuchu, matematycznie precyzyjnym zmyśle rytmu, do amatorów różnych typów, reagujących na melodyjność, nastrojowość lub taneczność utworu, dla których motyw muzyczny bywa tłem dla obrazów zastępczych, refleksji, albo wspomnień, odprężeniem nerwów, lub rozrywką.

Obie nie należałyśmy do żadnej kategorii znawców. Ale muzyka jako najbardziej abstrakcyjna ze sztuk działała wtedy na nas chyba najbardziej wyzwalająco, uwalniała od tej monomanii, w którą popadliśmy prawie wszyscy.

Akordy organowych harmonii szły ku nam z innego świata. Więc jeszcze jest ten świat, gdzieśmy go zagubili? Znikły zakurzone ramy i pokraczne rzeźby, nawet wrogi mundur przestał istnieć, a uporczywe dzwonienie tramwajów na zatłoczonym o tej porze N. Świecie nie dochodziły do naszej świadomości. I Niemiec, być może zapomniał, że jest Niemcem w Polsce, gdzie spojrzenia biją jak kamienie.

Toń głęboka, noc gwiaździsta.

Grzmiące pasaże toczyły się po klawiszach jak burza.

Nie było Warszawy w gruzach i jej więzień, codziennej trwogi, powszedniej zgryzoty, tylko te chorały—modlitwy i wielogłosy kościelnych dzwonów.

Spojrzałam na Wandę, siedziała sztywno z odchylonymi bezkrwistymi wargami z wyrazem aż do bólu natężonego słuchania.

Artysta czekał nim struny umilkną i zdjął ręce z klawiatury. Odezwało się kilka nieśmiałych oklasków. Zapalono światła, i białe fartuszki, oderwawszy się od framugi drzwi, zaczęły krążyć bezszelestnie po sali, roznosząc filiżanki. Niemiec, znieruchomiały przez cały ciąg muzyki, porwał nagle czapkę i wyszedł.

Zawiązały się przyciszone rozmowy.

— Mamy półgodzinny antrakt — zaczęłam nieśmiało — czy mogę panią pytać?

— Oczywiście — odparła Wanda całkiem rzeczowo, — muzyki dawno nie słyszałam, ale nie przyjechałam tu przecie na koncerty... Słucham panią — zwróciła do mnie drobną, zniszczoną twarz i uważne spojrzenie.

— Pani śledztwo trwało ile czasu?

„Przeszło rok.

— I była pani w rękach ilu śledczych?

Trzydziestu trzech. Niektórzy trzymali mnie tylko jedną noc, inni po kilkanaście... Cóż mogłabym pani powiedzieć o moich śledczych? — w zastanowieniu opuściła, swoim zwyczajem wzrok na splecione na kolanach ręce; tak samo zapewne siedziała przed swymi trzydziestu trzema sędziami.

„Jeszcze w Brześciu, przed uwięzieniem, miałam takiego na kwaterze i sporo się od niego dowiedziałam. Sowieccy śledowatiele są przeważnie rekrutowani z bezdomnych dzieci t. zw. biezprizornych, wychowanych w dietdomach w duchu ściśle sowiecko-ortodoksyjnym. Są to prawdziwe dzieci państwa sowieckiego, pozbawieni związków rodzinych okazują się bardziej od innych odporni na wszelkie uczucia i wpływy zewnętrzne. Na ten użytek dobierają sobie, jak to mogłam zaobserwować, albo przystojnych chłopców, albo odwrotnie, ułomnych, o powierzchowności odrażającej, zeszpeconych na twarzy, garbatych. Mój brzeski sublokator należał do ładnych chłopców; opowiadał mi z dumą, że przechodził specjalne przeszkolenie aktorskie w celu opanowania mimiki, jako sposobu zastraszania podsądnych. Z własnego doświadczenia wiem, że sędziów urodziwych, ujmujących obietnicami, nawet uwodzicieli, zastępowano odrazu ohydnymi brutalami. Po obietnicach, słodkich słówkach — następowały wrzaski, szczerzenie zębów, wytrząsanie pięściami i stek plugawych wyzwisk; dopiero w razie niepowodzenia, czyli odmawiania zeznań — stosowano bicie.

— Czy pani była bita?

„Nigdy do utraty przytomności — odparła Wanda, ze zwykłą sobie prostotą i poczuciem odpowiedzialności za każde słowo. — Dzięki temu nie powiedziałam nic ponadto, co chciałam powiedzieć; ale muszę przy-

MARIA WINOWSKA

»ŁZY MATKI«

METODY Boże są dziwne i od naszych wielce odmienne: dlatego tak nas zaskakują. Choćbyśmy się położyli najniższą doliną, zdystansuje nas zawsze, nieustraszoną pokorą, łaska: Bóg znajdzie zawsze sposób, żeby niżej jeszcze zejść. Kto dziejów świata do tego punktu nie przemyślał, ten musi się łamać w dżungli tajemnic: nie świetlistych, lecz dławiących. U korzenia trzech czwartych „wątpliwości" tkwi tania antropomorfizacja...

A przecież wszystkie widome ingerencje Boże w dzieje świadczą o umiłowaniu środków ubogich i najuboższych. Bogu tak bardzo wystarcza, że jest, iż za nic sobie ma widzialny przepych stworzenia, którego misją i celem jest nie tyle świadectwo Bytu, ile sygnał Nieobecności, znaczenie śladów kogoś, kto szedł tędy i przeszedł, ogniem, wichrem czy tchnieniem.

Ewangelia jest dostojną rejestracją tego ubóstwa i tej pokory, której nawet święci nie zdołali zgłębić. Prócz Jednej, Jedynej, Wyłączonej, Wybranej, Wkorzenionej wiekuistym dekretem w samo serce Boga Trójjedynego. To też mnożące się od stulecia i coraz bardziej natarczywe objawienia Matki Bożej mają wszystkie jako znak rozpoznawczy ów „posmak ewangelii" — olśniewającą i gorszącą cechę ubóstwa i pokory.

Nie wybiera, by im przekazać swe orędzie, uczonych, profesorów uniwersytetu, ministrów czy wodzów. Powiernikami Jej są małe, czasami głupie dzieci. Dość, że mają oczy przejrzyste i serce, jak źródło! Nasze męty Boga nie odbiją, ocieramy się jak nietoperze o świat niewidzialny, który nas osacza, ale nie przenika, bośmy z wiekiem coraz bardziej „nieprzemakalni". Ale dzieci? Kto wie, czy nie rozmawiają z aniołami? Kto wie, jakie czułki kwitną w ich duszyczkach, dopóki ich nie muśnie czarnym skrzydłem tajemnica zła? Cóż my wiemy o niewinności? Toż dziecko w nas umarło tak dawno!

Nigdzie chyba bardziej niż w la Salette Uboga Pani nie zajaśniała czystym odbiciem Bożym, w pełni swych królewskich przywilejów i praw. To też żadne objawienie nie wywołało tylu sprzeciwów, zgorszenia, krytyk i nie raz zajadłej nagonki. Góra Łez była i jest poniekąd kamieniem obrazy. Wielu nie mogło i nie może darować tej, która się mianowała Służebnicą pańską, tak wielkiego upokorzenia. Złożą chętnie hołd Królowej ale jakże ją uznać w tej Kobiecie płaczącej gorzko?

Niechżeż martwią się teologowie, jak pogodzić te łzy z wiekuistą szczęśliwością. „Elle a mis sa gloire en deuil, sa béatitude en larmes.." powiada ojciec Bernard, dominikanin: „chwałę swoją zasnuła żałobą, szczęście swoje roztopiła w łzach". Gdzie klucz tej tajemnicy?

Stoję przed żelazną kratą, strzegącą drogi krzyżowej Matki Boleściwej i myślę sobie, że klucz ten może nam dać tylko tajemnica Pawłowa: Chrystus cały głowa i ciało! Głowa wniebowzięta, w chwale Ojca, ale ciało? Toż Chrystus żyje cierpi, umiera na wieki w swoich członkach, w swoim Kościele. Krzyż jest wciąż aktualny, „je serai dans l'agonie jusqu'à la fin des temps", po wsze czasy konanie moje trwa" — mówi Chrystus do Pascal'a. Chrystus wciąż kona, do krzyża przygwożdżony, więc jakżeż się dziwić, że i Matka pod krzyżem trwa? Że współcierpi i współkona?

Pod krzyżem stała, ale tu siedzi jakby trudno jej było udźwignąć nadmiar bólu. Na Golgocie krzyż jest narzędziem zbawienia, ale poza Golgotą? Dla iluż jest szubienicą i przekleństwem? Czyżby miała pójść na marne Krew, którą Ona mu dała, by miał co wytoczyć, czyżby męka, którą Ona mu umożliwiła, dając Mu ciało, narzędzie cierpienia, miała przepaść? Jakżeż trafić do serca tylu knąbrnych, złych, niewdzięcznych dzieci, które na wieki objęła swoim najczulszym macierzyństwem — właśnie pod krzyżem? Jakżeż im wytłumaczyć, że jedynym nieszczęściem, ich własnym nieszczęściem jest nie tyle cierpienie, co grzech?

Łzy są dla matki ostatnim argumentem. Gdy już wszystkie perswazje zawiodą, gdy słowa biją grochem o ścianę tępego uporu, złej woli, gdy dziecko stoi oto przed nią złe i obce, głos grzęźnie jej w gardle, wybucha płaczem i zdobywa łzami, czego słowem nie umiała. Biada dziecku, którego nie skruszą łzy matki!

Mianowana po wsze czasy Matką Żyjących mówi oto na górze la Salette językiem wszystkich matek: słowem i łzami. „Jeśli słowa moje nie trafią im do serca, to może przecież wzruszą ich moje łzy". Siedzi na tym oto kamieniu, jak prosta kobieta w fartuchu, oparła łokcie na kolanach, ukryła twarz w dłoniach i płacze.

Nad nami płacze.

„Jeśli lud mój nie zechce się ukorzyć, będę musiała upuścić ramię mego syna. Jest takie ciężkie i mocne, że już go nie mogę udźwignąć. O jakżeż ja już dawno, jak długo cierpię za was! Jeśli nie chcę, by Syn mój was porzucił, zlecone mam wciąż wstawiać się za wami: a wy nic o to nie dbacie! Choćbyście nie wiem jak się modlili, choćbyście nie wiem co robili, nigdy nie zdołacie wynagrodzić mi trudu, jaki dla was ponoszę.

Słowa takie proste i codzienne jak natchnione teksty psalmistów. Otrzaskaliśmy się z ich przejmującym realizmem i naogół nie pamiętamy, że Bóg zwykł nazywać rzeczy po imieniu. Także Matka Najświętsza.

Tego, co myśli, nie obwija w bawełnę. Mówi tak prosto, że malutkie dzieci mogą ją zrozumieć. Językiem obrazowym, dostępnym dla prostaczków. Pastuszęta powołane na niebieskie poselstwo powtarzać je będą po sto razy, bez zająknienia. Dziwić się

*) Jest to dalszy ciąg „Różańca", ŻYCIE Nr. 12/91).

znać, że bili po mistrzowsku, to też jest „szkoła“...

— Czy bardzo bała się pani tych nocy?

„Była wtedy ciężka zima — ciągnęła, jakby puszczając mimo uszu moje pytanie i patrząc przed siebie, a raczej w siebie, w tamte wspomnienia. — W okresie śledztwa siedziałam przeważnie w karcerze; głód, chłód, bezsenność... Każda zmiana jest wtedy pożądana. Mogłam wymienić kilka słów z dozorcą, niekiedy ludzkim, odetchnąć świeżym powietrzem. Przewozili nas z więzienia do gmachu sądowego pojedyńczo, z konwojującym żołnierzem, w osobowych, zamkniętych samochodach. A noce zimowe, roziskrzone, zawsze piękne, po karcerze — to było jedno olśnienie. Gmach sądowy mieścił się w dawnym pałacu gubernatora, przy Katedrze. Zabudowania poklasztorne były, zdaje się, włączone do tego budynku, bo sędziowskich gabinetów było bardzo dużo, sądząc po numeracji, chyba ze dwieście. Potem mogłam usiąść na krześle w ciepłej izbie. A co było dla nas ciepło — trudno wyrazić.

„Niekiedy dawano mi jeszcze gorącej herbaty. W gmachu był bufet dobrze zaopatrzony, posługaczki roznosiły piwo, bułki z szynką i dymiące szklanki herbaty

„Co mnie ratowało, to moja senność. Krzyczeli, grozili, bili wylewali na mnie stek plugawych wyzwisk, ale mnie ten żar, bijący z pieca, tak mroczył, że musiałam się trzymać krzesła, żeby nie upaść. Wszystko było dzięki temu, jakby zamglone, wrażliwość przytępiona. Byleby tak nie krzyczeli — myślałam i zapadałam w półsen. Budziło mnie szarpnięcie, wytrącenie spode mnie stołka, cios w głowę, — a chwyty mieli przeróżne. I jeszcze ta ich plugawa briań, to kruszy odporność nie gorzej od bicia, człowiek doznaje jakiejś głębokiej, moralnej krzywdy, duchowego pohańbienia, a „sztukę“ tę posiadają również w skali tak rozległej, że to chyba też wchodzi w skład ich zawodowego wykształcenia, podobnie, jak mimika — wyuczona lekcja.

Zasunęła pod chustkę wymykające się pasemko włosów.

— A ta blizna? — spytałam, śledząc ruch jej małej, spracowanej ręki — ta blizna koło ucha?

„To nie od bicia, to cynga, awitaminoza, pamiątka z karceru.

Podniosła na mnie piwne oczy o tym wyjątkowo intensywnym spojrzeniu.Podobną wymowę wzroku mają niektóre zwierzęta. Takiej wymowy nabywają oczy ludzi, co przeszli długotrwałe śledztwa sowieckie,gdzie każde pytanie jest pułapką i zapiera dech w piersi, w tym kraju, gdzie „za słowo“ idzie się na długie lata katorgi.

— I zawsze nocą? — ciągnęłam indagację.

„Zawsze. Brali albo z wieczora i trzymali do 2-ej, 3-ej, albo od 2-ej, 3-ej do rana. Widziałam wtedy, jak już byli znużeni, ziewali, wychodzili na korytarz. Zostawałam wtedy sama. Z dalszych izb dochodziły nie raz krzyki, wołania, dźwięczały dzwonki, za ścianą słyszałam głosy. Przemagałam senność, żeby się czegoś dowiedzieć; mało się czego dowiedziałam. Prawda, że raz to posłyszałam ciekawe zeznanie: Wiesz co! — mówił młody sędzia do drugiego podnieconym głosem — udało mi się! Podpisał! (Drzwi były niedomknięte, słyszałam wyraźnie). Tamten o coś spytał. — Miałem czterech ludzi do pomocy — powiedział pierwszy — oskarżonego wynieśli na noszach — ale podpisał!

„W tonie opowiadającego brzmiał triumf.Tak przemawiałby lekkoatleta po rekordowym biegu lub skoku, albo myśliwy po udanym polowaniu, cieszył się rezultatem, być może wielotygodniowej pracy, może nadzieją odznaczenia? Był dzieckiem rewolucji, może wierzył, że się zasłużył radzieckiej ojczyźnie, która go z nicości wyniosła na swego obrońcę? A że podsądny miał wybite zęby i połamane żebra, do krwi zdeptane obcasami oprawców stopy, odbite nerki lub wątrobę — cóż z tego? Niczym to, jego, „sędziego“ nie obciążało; że człowiek skatowany mógł poczynić fałszywe zeznanie, podpisać protokół w bezprzytomności — to nie jego rzecz; on spełnił swoją powinność, wymusił zeznanie, podjął ptaka na strzał.

„Rozmówcy się oddalili. Sen mnie strasznie morzył. Jakieś dalsze drzwi się otwarły z trzaskiem: Bratcy pomiłujtie! — buchnęło. Potem ktoś krzyknął: Ubierajtie! W sąsiednim gabinecie uporczywie dzwonił telefon.

Widziałam, jak Wandę męczy to „zeznawanie“, ale mówiła w podnieceniu i czułam, że chce się wypowiedzieć do końca, wyzwolić. Przetarła ręką czoło, ruchem jej właściwym.

„Trudno mi wprowadzić ład w te strzępy wspomnień - podjęła po chwili — te dnie i noce takie były do siebie podobne, tak mi się w pamięci zlewają.

„Ale jedno jeszcze muszę pani opowiedzieć. To było nad ranem... Pamiętam, że grubo oszronione szyby nasiąkały już sinością świtu, a światło żarówek zżółkło; kiwałam się na stołku, a mój sledlowatiel ziewał raz po raz od ucha do ucha. Nagle porwał się, jakby sobie coś przypomniał, i wybiegł z gabinetu. (Ten miał twarz bladą i zmarszczoną o typie wybitnie mongolskim, prawie chińskim, ale był olbrzymiej postawy i szerokich barów, miał też duże, ale piękne i kształtne ręce, o wydłużonych palcach.)

„Kiedy wrócił, rozsiadł się zamaszyście za biurkiem i krzyknął z jakimś akcentem triumfu w głosie, a jego czarne, drobne oczka świeciły się jak u kota:

— Nie chcesz gadać? (Zawsze chodziło o te początki ruchu podziemnego w Brześciu i o jego filacje w zaborze niemieckim). Ty, i wy wszyscy — gospoda Poliaki — cedził z ironią — liczyliście na jakąś pomoc z Zachodu? Myślicie, że mocarstwa zachodnie będą bronić waszej pańskiej Polszy? Nu tak posłuszaj umnica!...

(Na estradzie zaczął się ruch,przesuwano fortepian, wnoszono pulpity).

— Mongoł rozwinął gazetę — to były „Izwiestia“...

Weszła Umińska, w czarnej atłasowej sukni, z jasnymi skrzypcami w rękach, za nią — drugie skrzypce — Roman Podlewski, wysokie czoło artysty — (miał niebawem zginąć jak bohater w beznadziejnych walkach Starówki w Warszawskim Powstaniu), potem oboje Wiłkomirscy — violoncella i fortepian.

Wanda dotknęła mego ramienia: Skończę później — mówiły oczy.

Allegro. Polotny rytm menuetu, fortepian dźwięczał klawesynem, cienką, perlistą nutą, drobnym krokiem atłasowych pantofelków, szumem jedwabi, chrzęstem wachlarzy, migotał blaskiem pająków...

Andante. Przeczysty trel skrzypiec, natężenie rośnie, pogłębia się, wzbiera i urywa na szczycie; potem opada kaskadą tonów, rozpływa się w śpiew anielskiej, dziecięcej prostoty. Nie czyliśmy już techniki artystów, ich napięcia, wirtuozerii, tchnienie samego Mozarta spłynęło na ponurą antykwarnię Mieczysława Sterlinga, wyzwalając na chwilę wszystkich słuchaczy z ich zwątpień i rozpaczy, ambicji i pożądań, z wszystkiego co ziemskie.

Ślad Boga, niepokalane dzieciństwo.

Fortepian dzwonił ostatnim Allegro.

Przypominał mi się świt zimowy w tym samym Mińsku, przed wielu laty, skrzyp sań po śniegu dźwięcznym jak szkło i pierwsze białe dymy kominów, bijące w mroźne, blado-zielone niebo, jak całopalna ofiara Abla z Biblii, radości lat dziecinnych, ilustrowanej sztychami Doré'go —dymy już zaróżowione u szczytu pierwszymi brzaskami zorzy.

Padły ostatnie nuty, lekkie jak szron, zwiany rannym powietrzem, — Koniec.

Spojrzałam na Wandę.

„Trzeba iść“ — powiedziała z determinacją i wstała, ale jej mocne ręce drżały, zaciągając pod brodą chusteczkę.

Ruch na Nowym Świecie był wstrzymany. Długa kolumna aut ciężarowych przechodziła na lewy brzeg Wisły Jerozolimską i Alejami 3-go Maja.

Die Räder rollen für den Sieg! — głosiły rozlepione wzdłuż torów i szos propagandowe plakaty.

Skręciłyśmy ku Marszałkowskiej. Księżyc to błyskał to gasł, a łoskot niemieckich motorów wypełniał ulicę po brzegi.

Co więc było w Izwiestiach?

„Więc było tak, mój sledowatiel rozwinął gazetę, podniósł ją do oczu, tak że mogłam dojrzeć tylko odwrotną stronę, i zaczął płynnie czytać.

„Czytał, że Anglia i Francja zawarły układ z Hitlerem, mocą którego dają mu wolną rękę na Wschodzie i godzą się na jego arbitraż w sprawie Polski; że układy pokojowe są w toku... i coś jeszcze, zdaje się, o krajach bałtyckich, czy o Bałkanach — ale tego już nie dosłyszałam.

„Wiosenna ofensywa mocarstw Zachodnich — tą nadzieją wszyscyśmy żyli, jeszcze na wolności, potem w więzieniach na śledztwach... Taki układ to byłaby śmierć Polski.

„Nie przyszło mi wtedy na myśl, że mógł mieć wkładkę w gazecie, uwierzyłam.

„Wówczas to musiałam stracić przytomność.

„Obudziło mnie szarpnięcie. Ktoś postawił mnie na nogi; może niepamięć moja trwała chwilę bo lampy jeszcze się paliły, ale w pobliskich podwórzach piały już koguty“.

Kiedy dojeżdżałyśmy na Mokotów zerwał się wiatr, nagie konary drzew w ogrodach szamotały się i tłukły, klaszcząc złowrogo, u zenitu opustoszałego nieba księżyc tkwił teraz nieruchomo daleki.

Wanda mieszkała u rodziców na Różanej. Staruszkowie stracili wszystko w bombardowaniach wrześniowych, schronili się więc do dwu pokoików na poddaszu jakiejś nawpół zrujnowanej willi. Nędza wyglądała z każdego kąta, piec w kuchni dymił, ojciec emerytowany nauczyciel od dłuższego czasu obłożnie chorował. W bokówce o skośnym dachu były przygotowane dwa posłania na ziemi. Blady, dziewięcio czy dziesięcioletni chłopczyk przywitał Wandę cichym okrzykiem: Wróciłaś!

„Zygmuś — przedstawiła mi go — syn zmarłej siostry a teraz też mój. Był ze mną w Brześciu, kiedy mnie aresztowali, tam go zostawiłam.Przytuliła go do siebie, a dziecko przyciskało się do niej z ufnością piskląt wbijających się pod skrzydła kury.

„Nigdy synka nie zobaczysz!“ — straszył mnie sledowatiel — Wanda patrzała w twarzyczkę chłopca wspartą o jej ramię z wyrazem trwogi, jakby słyszała jeszcze okrutne słowa: „Wywieziony do prijutu, nazwisko zmienił. Nigdy go nie znajdziesz!“ „To też był chwyt; ale skąd mogłam wiedzieć? Czemu by nie mieli wywieźć także moje dziecko, kiedy tyle innych wywieźli? Dopiero tu go odnalazłam, całkiem niespodziewanie; dobrzy ludzie odesłali go moim rodzicom“.

„Jeszcze się z panią spotkamy!“ — powiedziała mi Wanda na pożegnanie, w tonie twierdzenia i obietnicy zarazem.

Ciemnym ślimakiem schodów wydostałam się na ulicę. Wyludniona bliską już godziną policyjną cała w białym blasku robiła nierealne wrażenie teatralnych dekoracyj. Wiatr się jeszcze wzmógł i drzewa huczały w tej księżycowej pustce jak morze, Przyśpieszyłam kroku, czułam ból, dojmujący ból i głęboką zarazem radość.

W cztery czy pięć tygodni później, bo jeszcze przed Bożym Narodzeniem, dostałam list od matki Wandy. Dziękowała mi za okazane serce, przysyłała odpis więziennej modlitwy, o którą prosiłam i donosiła, że Wanda wyjechała zdrowsza i silniejsza.Staruszka nie pisała gdzie – domyślałam się, że pojechała z powrotem.

Maria Czapska

„ŁZY MATKI”

Dokończenie ze str. 1.

im będą uczeni, nie prosty, kający się lud.

Odkąd Kościół uroczyście zatwierdził objawienia w la Salette, dwa fakty są pewne: że Matka Boża nad nami płakała, żeśmy powodem jej bólu i łez; i że tym bólem, tymi łzami matczynymi próbuje skruszyć nas, nawrócić — ocalić.

Stoję przy źródle, w świętej kotlinie, i zbieram wszystko, co w ciągu lat uskładało mi się w gumnach pamięci na temat la Salette: od chwili pierwszego spotkania, niemal w dzieciństwie, gdy Górę łez objawił mi niesforny wieszcz i prorok z Bożej łaski, Léon Bloy. Odtąd coraz to krzyżował moją drogę jakiś pątnik zapamiętały i wyznawca Gorzkich łez... Któż to mnie ostrzegał przed laty, że pielgrzymki tej lepiej „nie ryzykować“, jeśli się nie ma ochoty na bliższą zażyłość z tajemnicą krzyża? Rzecz ciekawa: dąsali się teologowie, uczeni — gdy Płacząca Pani od razu i w czambuł podbiła sobie: dzieci, prostaczków, poetów i artystów.

— Pani sobie nawet nie wyobraża — oświadczył mi kiedyś Stanisław Fumet — jaki wpływ na intelektualne odrodzenie Francji wywarła la Salette, ile nawróceń tu właśnie dokonało się lub poczęło, jaki bezmiar łask wciąż się sypie... Nie o wszystkim wolno mówić, ale to nawet, co wiadome, zadziwia.

Prawda to i gdy przed dwu laty, z okazji stuletniej rocznicy, misjonarze z la Salette na całą Francję rzucili wici, odpowiedziało im echo stugłose, posypały się świadectwa, tym bardziej wzruszające, że choć przez literatów pisane, z tak zwaną literaturą nie mają nic wspólnego i tylko, jak gdyby, dług spłacają, dług wdzięczności. We wszystkich dźwięczy nuta niezastygłego wzruszenia, przejmującej tkliwości i rycerskiego udziału w tych gorzkich żalach, które niejednemu obudziły duszę. Są tu takie nazwiska, jak Mauriac, Maritain, Claudel, Madaule, Sertillange, Thibon... „Nigdy chyba żadna książka zbiorowa nie powstała równie samorzutnie“, mówił mi z pewnym zdziwieniem wydawca...

Słońce pada coraz skośniej, patrzę na zegarek: piąta. Ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Odwracam głowę — towarzyszka pątniczej drogi. Uśmiecha się trochę nieśmiało:

— Oddawna Panią szukam: czy chce się Pani przejść?

Chcę zrazu odmówić — cóż za intruz? — lecz widzę jej uśmiech i odpowiadam uśmiechem.

— Pójdziemy granią, w stronę tuneli, zobaczy Pani, jaki cudny jest tu zachód słońca.

W prostopadłym niemal zboczu pastusza ścieżka, tak nieraz wąska, że trzeba iść ostrożnie, gęsiego. Spod stóp sypie się tętniąc żwawo ostry, szary piarg. Na prawo — ściana, na lewo — widok nieprawdopodobnie piękny na szerokim koliskiem rozsiadłe góry, złote od słońca.

Nieznajoma patrzy na mnie spod oka, uśmiecha się:

— Widać, że zwyczajna Pani gór. Jakie my tu czasami miewamy kłopoty z mieszczuchami, których skusi spacer po tych graniach! Raz szedł tędy proboszcz z Saint Augustin, z Paryża. Na szczęście był także z nami jeden ojciec misjonarz. Ot tam, na zakręcie, powiedział nagle, że dalej nie pójdzie, bo w głowie mu się kręci. Próbujemy wracać, słania się i mówi, że nie może krokiem dalej. Cóżeśmy się nabiedzili, żeby go do domu odstawić! Wreszcie zamknął oczy i dał się prowadzić jak dziecko...

Czerwoną kulą toczy się słońce za krawędź gór, kona w szkarłatnej pożodze. Biegną w ślad za nim coraz gęstszą ciżbą pierzaste chmurki, jak różowe baranki. Lgną w stado nagle uciszone, uroczyste, coraz większe. Pali się niebo i złote łuny długimi smugami haftują hale roztętnione mnóstwem srebrnych dzwoneczków. Powietrze jest tak przejrzyste, że mogę zliczyć fioletowe zmarszczki na krępym cielsku starego Obiou.

— Czy widzi Pani tych pastuszków? Pasą się tu latem stada wszystkich wsi okolicznych. Dzieci tutejsze są wszystkie podobne, tak samo pewnie wyglądali Melania i Maximin. A pastuch klasztorny to pątnik, który przylgnął. Wykształcony, tylko mówić nie lubi. Z różańcem chodzi po górach, za trzodą. Ma taką twarz, że malarze skomlą, by dał się malować. Ale on nie, i nie...

— Pani tutaj, jak w domu, wszystkich zna...

— A pewnie, to mój drugi dom! I dlatego odrazu poznaję, kto się tu nada a kto nie. Są tacy, co po dwu godzinach wieją, za ostry dla nich klimat! Ale o panią się nie boję. Pani zrozumie i dalej poniesie... Bo jakżeż inaczej? Czy pani wie, co Matka Boska powiedziała na pożegnanie pastuszętom? „Dzieci kochane, przekażcie to mojemu ludowi“. A więc nie Francji tylko, ani Włochom czy Hiszpanii! Całemu ludowi! Nigdzie chyba, od czasów ewangelii, nie rozbrzmiał apel równie uniwersalny. Kto tu przyjdzie, chce czy nie chce otrzymuje mianowanie na apostoła łez Niepokalanej. Dobrze to zrozumiał Tardif de Moidrey, przyjaciel Leona Bloy, a już zwłaszcza père Giraud: zna go Pani?

— Pierwszy raz słyszę — odpowiadam skruszonym głosem.

Siwe oczy patrzą na mnie z wyrzutem:

— Jakżeż to możliwe? Przyniosę pani książki... I pójdziemy go odwiedzić na cmentarzu. Nikt jak on nie zrozumiał znaczenia tych łez i nikt bardziej nie żył dla nich. Fundator tutejszego zgromadzenia. Gdy przyszedł tu po raz pierwszy i zaczęły się nań walić nieszczęścia, poszedł do świętej kotliny ukląkł przed płaczącą panią i powiedział: „Z tobą na życia i na śmierć“.

Wracamy w milczeniu. Nie wiem dotąd, jak nazywa się moja przewodniczka, ona nic o mnie nie wie, nie pyta: rozmawiamy tak, jak gdybyśmy się znały od lat. Czar świętej góry zaczyna działać.

Maria Winowska

TRZY GŁOSY

JESZCZE O „NIESZCZĘSNYM ZŁUDZENIU”

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł p. Jana Tokarskiego, poświęcony wieloobrządkowości Kościoła i unii w kościelnej w nr. 37 (116) ŻYCIA skłania mnie do zabrania głosu.

P. Tokarski pisze, że „skoro tylko poruszy się wśród Polaków sprawę Unii i wieloobrządkowości... można być niestety pewnym, że wzbudzi to zdenerwowanie“. Pisze również, że listy pp. J. Płoskiego i W. Albrychta w tymże n-rze 37 (116) ŻYCIA, a będące odpowiedzią na notatkę, jaką Redakcja zaopatrzyła artykuł p. Zofii Kossak „Sprawy nieprzebrzmiałe“ w nr. 34(113) ŻYCIA, były właśnie objawem tego zdenerwowania.

Otóż wyznaję, że w obu listach tego zdenerwowania nie widzę. O wiele już więcej zdenerwowania dostrzec można w notatce redakcyjnej pod artykułem p. Kossak, a mianowicie w apodyktycznym i gołosłownym twierdzeniu, że niektóre wnioski, zawarte expressis verbis w samymże artykule, są „zupełnie mylne“.

W związku z tym chciałbym stwierdzić, co następuje:

1) Że wszystkie obrządki są sobie w Kościele równe i że obrządki wschodnie nie są tylko „przedsionkiem“ do obrządku łacińskiego — to jest rzecz ogólnie wszystkim katolikom wiadoma i przypominanie tego jest wyważaniem drzwi otwartych. Różnica poglądów nie dotyczy tej kwestii, lecz kwestii zupełnie innych.

2) Choć jednak obrządki są sobie równe, to jednak żadnemu katolikowi, ani grupie katolików, nie jest raz na zawsze zabroniona zmiana obrządku. Może łacinnik zostać unitą i może unita zostać łacinnikiem.

3) Nie jest wcale ani dogmatem, ani zasadą dyscypliny kościelnej, że kraj, czy dzielnica, które należały dawniej do jednego obrządku, nie mogą potem należeć do innego. W południowej Hiszpanii przed inwazją arabską panował obrządek mozarabski, ale po wyparciu Maurów zapanował tam wszechwładnie obrządek łaciński, a obrządek mozarabski utrzymał się tam tylko w kilku miejscowościach w formie szczątkowej. Do roku 1874 cerkiew unicka, z osobnym biskupstwem w Chełmie, istniała na Chełmszczyźnie i Podlasiu; została ona skasowana przez rząd rosyjski, a unici wcieleni do prawosławia; gdy po 31 latach prześladowań, w roku 1905, edykt o tolerancji pozwolił im powrócić na wiarę ojców, około 100.000 eks-unitów wróciło na łono kościoła katolickiego, tym razem jednak na obrządek łaciński. Władze kościelne nie wznowiły biskupstwa unickiego w Chełmie, nie wymagały również od nikogo powrotu na obrządek unicki, mimo, że żyła jeszcze generacja, przymusowo na prawosławie „nawrócona“. Po 32 latach wymuszonej schyzmy unia znikła z Podlasia i Chełmszczyzny kompletnie. Stolica Apostolska ani takiego obrotu rzeczy nie nakazała, ani mu się nie przeciwstawiała, ale ustosunkowała się do niego, jako do samorodnego faktu, który miał swoje przyczyny w warunkach miejscowych, głównie natury psychologicznej.

4) Nawrócenie Rosji, czy innych krajów schyzmatyckich nastąpi wtedy i w taki sposób, jak zdecyduje Duch Święty. Ale to nie znaczy, że my, ludzie, zwolnieni jesteśmy od pracy nad tym, by to nawrócenie nastąpiło. A praca nasza, odbywająca się tu na ziemi, musi posługiwać się środkami ziemskimi. Obowiązkiem naszym jest w pracy tej powodować się rozumem i roztropnością, a więc także i stosować tak lekceważąco przez p. Tokarskiego potraktowaną „taktykę“. Do taktyki tej należy wybór środków, które wedle ludzkiego pojmowania są najskuteczniejsze. Całokształt tych środków, ułożonych w określoną taktykę, składa się na politykę kościelną w danej sprawie. Ani taktyka, ani polityka kościelna, ani propaganda (Congregatio de Propaganda Fide!), nie są rzeczą w swej istocie złą, ale przeciwnie, są środkami ludzkiego działania przyrodzonego, do którego jesteśmy obowiązani tak samo, jak do używania środków nadprzyrodzonych (modlitwy).

5) Od paru dziesiątków lat polityka kościelna zmierza do zdobycia Rosji przy pomocy akcji unickiej. Nie wchodzi to jednak w zakres dogmatu o nieomylności. W sprawach tego rodzaju polityka kościelna może być i bywa zmienna; przykładem zmiany stanowiska Kościoła w sprawach taktycznych i organizacyjnych wielkiej miary jest kasata zakonu jezuitów w XVIII wieku i wznowienie go w XIX-tym.

6) Człowiek, nie znający danego problemu z własnego doświadczenia i nie mający nań własnego poglądu, winien trzymać się postawy, w danej chwili przez politykę kościelną stosowanej. Ale człowiek, mający warunki do uformowania sobie zdania, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek informowania kościoła — ewentualnie także i w formie wystąpień w druku — o faktach i spostrzeżeniach, które mogą się przyczynić do zmiany polityki kościelnej, lub tego czy innego jej szczegółu. Jeśli Polacy, którzy mieli sposobność poznać z bliska duszę „sowieckiego człowieka“ lub brać w Rosji udział w pracy misyjnej, dochodzą — uczciwie bez ubocznych pobudek — do wniosku, że w tych czy innych środowiskach rosyjskich obrządek łaciński ma większe dane do rozwoju, niż unicki, to mogą mieć rację, lub się mylić, ale uchybiliby swojemu obowiązkowi, gdyby milczeli i spostrzeżeniami swoimi, cennymi jako informacja dla władz kościelnych i dla szerokiej opinii katolickiej, się nie dzielili.

7) Zagadnienie usunięcia rozłamu w Kościele, a zagadnienie nawrócenia Rosji, to są dwie kwestie różne. Można sobie wyobrazić taką sytuację, że schyzma wschodnia zniknie, że patriarchowie wschodni, moskiewskiego nie wyłączając, uznają nad sobą zwierzchnictwo Rzymu, ale Rosja będzie w 90% krajem ateistycznym, a więc nie będzie nawrócona. Można sobie również wyobrazić, że schyzma będzie trwać, ale Rosja będzie w 90% katolicka, a więc nawrócona. Można wreszcie sobie wyobrazić, że rzeczy potoczą się innymi drogami w środowisku greckim, melkickim, u Słowian bałkańskich i t.d., a innymi w Rosji. Prowadzenie w Rosji akcji misyjnej łacińskiej wcale nie jest jednoznaczne z brakiem miłości wobec czcigodnej i wspaniałej wschodniej liturgii i wobec wschodniego obrządku. Jest rozwiązaniem praktycznym, które wcale się zasadzie wieloobrządkowości Kościoła nie sprzeciwia.

8) Na zasadzie doświadczeń z pobytu w Rosji, lub zetknięcia się z Rosjanami w Polsce, narosło w bardzo szerokich kołach polskiego społeczeństwa przeświadczenie, że w niektórych przynajmniej środowiskach rosyjskich istnieje tęsknota nie tylko do Boga, nie tylko do jedności Kościoła, ale także i do Kościoła zachodniego (łacińskiego). Można się spierać co do tego, jak liczne koła ta tęsknota obejmuje, ale kwestionować sam fakt jej istnienia zdaje się jest już dzisiaj nie sposób. Zdaniem polskiego społeczeństwa katolickiego nie jest tłumić, w imię fałszywie pojętej dyscypliny, świadomość istnienia zaobserwowanego faktu, ale jest fakt ten, o tyle, o ile warunki na to pozwalają, najdokładniej zbadać i ocenić, oraz jest poinformować o tym fakcie najwyższe władze kościelne, a także jest zainicjować, lub zaproponować wysnute ze stwierdzenia tego faktu konsekwencje praktyczne.

Niech mi wolno będzie, z całą pokorą i z całą świadomością swej ignorancji, która się przy swym zdaniu bynajmniej nie upiera, wyrazić przypuszczenie, że być może trzeba rozróżnić między dążeniem do odzyskania dla Kościoła Cerkwi rosyjskiej, a dążeniem do pozyskania poszczególnych Rosjan. Powrót Cerkwi rosyjskiej do jedności z Kościołem może wyglądać tylko tak, jak przed wiekami unia brzeska, to znaczy być powrotem instytucji, a nie tylko osób — instytucji zbiorowej ze swoją hierarchią, obrządkiem i tradycją. Natomiast nawracająca się, pojedyńcza jednostka ma psychologię konwertyty. Nie zawsze czuje się strażą przednią swego środowiska; bardzo często jest ze swoim środowiskiem w konflikcie i pragnie z nim stanowczo zerwać. Są Rosjanie, którzy pragną obrządku łacińskiego i którym Kościół łaciński imponuje; proponowanie im trwania w obrządku wschodnim może ich nawet urażać, jako chęć stwarzania między nimi i zachodem przedziału. Akcja, obliczona na unię Cerkwi rosyjskiej z Kościołem, rzecz prosta, z samego założenia musi być oparta o ideę obrządku wschodniego. Akcja jednak, obliczona na nawracanie jednostek — czy mas — wracających do Kościoła nie jako Cerkiew, ale indywidualnie, może być, tak myślę, prowadzona w zależności od warunków lokalnych i indywidualnych, zarówno w obrządku, czy obrządkach wschodnich, jak w obrządku łacińskim.

9) Obok zagadnienia Rosji istnieje osobne zagadnienie ziem wschodnich Polski. Nawrócenie przeważającego ogółu prawosławnych w Polsce jest nie do pomyślenia inaczej, niż w formie czegoś w rodzaju nowej Unii brzeskiej, t.j. gremialnego powrotu cerkwi wraz z hierarchią do jedności z kościołem. Gdy jednak chodzi o nawrócenia indywidualne, doświadczenie uczy, że obrządek łaciński miał przed sobą możliwości duże i nieraz większe od obrządku wschodniego. Przykład owych 100.000 eks-unitów na Podlasiu, którzy woleli obrządek łaciński od greckiego, jest faktem, nad którym przejść do porządku nie sposób. Na mniejszą skalę, ten sam proces przechodzenia prawosławnych (eks-unitów i eks-łacinników) na obrządek łaciński toczył się, i po edykcie tolerancyjnym 1905 r., i w Polsce niepodległej, nie tylko na Podlasiu, lecz na całych ziemiach wschodnich. Toczył się nieprzerwanie aż do roku 1939-go

Sam znam wieś na Wołyniu, która na parę lat przed ostatnią wojną przeszła z prawosławia na katolicyzm

PO PROSTU I PROSTO Z MOSTU...

Drogi Panie Redaktorze!

Nawiązuję do artykułu „Nieszczęsne złudzenie Watykanu“, który wykazuje całe Pańskie osobiste zrozumienie sprawy i sympatię dla niej. Jak Pan pamięta, z początkiem 1948 roku napisałem na te tematy artykuł do ŻYCIA, zostałem bardzo niesympatycznie potraktowany przez dwu Dyskutantów, lecz mej odpowiedzi ŻYCIE już wtedy nie zamieściło. Teraz znowu wypływa w opowiadaniach, w listach do Redakcji — sprawa obrządku łacińskiego w Rosji. Niech więc i mnie wolno będzie w tej sprawie do ŻYCIA i jego Czytelników się zwrócić.

Z całego hałasu dokoła tej sprawy jeden jest, jak zawsze dotąd wniosek; wniosek natury, że tak powiem, aurykularno-akustycznej: Polacy są przeważnie głusi, a jak to bywa z głuchymi — lubią krzyczeć. Tych właśnie głuchych podrażnił dopisek Pana do artykułu p. Kossak. Znów widać, że nie myliłem się w swym zeszłorocznym artykule, gdym wskazał na jakby zorganizowany front „władowywania“ — chciałoby się powiedzieć — obrządku łacińskiego do Rosji.

Jeden z autorów listu wyjaśnia, że wprawdzie wszystko pięknie, że on to rozumie, i owszem, teologię, mnogość obrządków — ale „wsio taki“ w Rosji nie ma tak być i basta. Drugi zaś bardzo ładnie, koliście i fałdziście rozdzielał komplementy, że p. Kossak, nu — to już samaja prelest, sam cymes, ale i Mateusz Dłuski owszem, owszem, (bo jakże tu nie zgodzić się z oficjalnie mówiącym Kardynałem, którego właśnie p. Dłuski tłumaczył z włoskiego), ale — in cauda venenum — nie! Choć p. Albrycht właściwie już tylko o tolerancję dla łacińskiego obrządku w Rosji prosił.

Chciałbym na to odpowiedzieć po prostu i prosto z mostu: to, co nam, Polakom, przeszkadza, to, o co tu chodzi, to nie żadna teologia, ale zwyczajna polityka. Ot, co! Chciałoby się nam łacińskiego obrządku w Rosji, a nawet temu i owemu wprost z nim tam iść. Wiadomo bowiem: Pan Bóg Panem Bogiem, wiara wiarą, ale zawsze to przyjemnie własny obyczaj z wiarą obnosić i szczepić, niż samą tylko wiarę. Toć to przecież jest Rosja, sąsiad, wiadomo. Te wszystkie Białorusiny, Ukraińcy i inni to furda! Prawdziwy sąsiad — to Rosja. Trzeba z nią żyć tak czy inaczej, bo albo ona bierze i to nie bardzo wdzięcznie i przyjemnie, albo ją trzeba brać (oczywiście za kołnierz!). Stara to, odwieczna piosenka.

A czyby tak nie można inaczej. Jakoś delikatniej. Z umiarem. Ot, jak to było z nieboszczką Austrią naprzykład. Były tam wprawdzie różne józefińskie fanaberie i niemczarstwo swego czasu, ale jednak C.K. Majestat to był, wiadomo, pan Katolicki. I tak oto katoliki z katolikami zawsze do jakiego ładu dojść mogli. A z tą Rosją?!

Już tam i za Jagiellonów marzyło się poniektórym o unii dynastycznej chociażby. Sam car Świętobliwie Okropny, to znaczy Groznyj o tron polski zabiegał i niektórzy gorąco mu sprzyjali. Potem bywało różnie, ale Najjaśniejsza Imperatorowa niby ze słowiańskiego rodu. A kongresowy król Aleksander, ho! — to już wiadomo prosto bóstwo był! Nawet mu kościół pamiątkowy wystawili. Tylko, żeby tak nie było tych wszystkich różnic prawosławnawo samodzierżawija, wszystko by się jakoś utarło. Ale nic z tego nie wyszło i Pan Bóg miłosierny cerkiew pohańbił za stare i nowe grzechy, czas więc teraz najwyższy, abyśmy dobry lud rosyjski na łacińskiego, na prawo, na rodne swoje słowiańskie dobro sprowadzili. No i bójek nie będzie, nawet choćby oni u nas (no, zrozumiemy się...) a może, da Bóg my u nich. I jak to będzie pięknie! Jedna wiara, jeden obyczaj...

Tymczasem przychodzą tu terkotać o jakichś wschodnich prawach, o wschodnich katolikach, a — Boże nie daj! — jeszcze im brody wyrosną. Jak to nieboszczyk Chesterton opisuje. Sama rzecz te brody! Światły kapłan, prawdziwy, wiadomo, to on lubi się golić. Mówi, że to właśnie tak być powinno, choć mój Ksiądz Wychowawca mawiał: — Dwie są przykre rzeczy na świecie — golić się i chodzić do spowiedzi. Nie bardzo widać chwalił sobie spowiedzi konfratra, choć sam był spowiednikiem doskonałym. Ale to już jego sprawa...

Była Grecja. Był Rzym, Być może Imperium Rosyjskie, a Polska jako ta Grecja promienna, też być może, swoje własne Bizancjum wygra w ten sposób. O to właśnie Bizancjum chodzi. Nie o to, co w nim było wspaniałego, wszechludzkiego i wszechrześcijańskiego dla wszystkich, lecz o to, co było pochyłym drzewem dla przysłowiowej a tym razem nacjonalistycznej kozy.

Oto najgłębsza przyczyna zapałów na Rosję w tej sprawie. Ośmielę się przeczyć, by tu chodziło o jakiekolwiek religijne przyczyny, choć nie przeczę, że i aspekt religijny dochodzi do głosu, jako wonny olejek na nieprzyjemną pigułkę. A — Kościół mówi: nie!

Praktycznie mówi dwie rzeczy: **Po pierwsze:** wschodnie obrządki a specjalnie wschodni obrządek słowiański rosyjski jest pod specjalną opieką ochronną. Jest zabezpieczony jako rezerwat Kościoła, owego mitycznego „Watykanu“, którego to słowa używa się w tym wypadku także, aby nie musieć wykrztusić „Stolica Apostolska“, bo to już jest bez apelacji. Natomiast anonimowy „Watykan“, to już nie jest ani wyznanie wiary, ani poddanie się. To miejsce insynuacyj, grzecznych intryg, plotek, złudzeń, straconych, zawsze głupich strategij, taktyk, polityk... A tu przecież sam Napoleon nauczył nas, że nawet geniusze przegrywają, cóż dopiero klechy. I to jeszcze takie, co nie chcą ani rusz uczyć się światowej polityki w kawiarniach od najlepiej w świecie poinformowanych Polaków, tylko gdzieś tam po Rzymach dalekich siedzą.

Tak. Wschodni obrządek jest pod opieką Kościoła, bo z długiej praktyki wieków Kościół wie doskonale, że gdy czcigodni katolicy, zwłaszcza na wschodzie Europy zmieszają pojęcia religijne z narodowymi, robią z tego taką papkę, że na śmierć każdą rzecz zbożną zaklei. Tak i było ze sławną Unią Brzeską, ale to osobny temat. I będzie ten obrządek pod opieką specjalną tak długo, jak długo będzie jakakolwiek słuszna obawa, że mógłby zostać najmiłosierniej i najserdeczniej — zniweczony. Mógł Kościół na dawnych ziemiach Rzeczpospolitej, u Litwinów, Łotyszy, Białorusinów i td. bronić języka polskiego w dodatkowych nabożeństwach tak długo, jak długo uważał to za konieczne dla dusz, i mógł rosyjski konwertyta Ojciec Jezuita Martinow bronić wytrwale praw katolickich tego języka przeciw napaściom rządu carskiego: — to teraz Kościół może bronić wschodniego obrządku Rosjan jako własnego rezerwatu, rezerwatu dobrze chronionego i mogą dziś Polacy o tym pisać i polskim piórem bronić **tego właśnie** stanowiska Kościoła.

A **po drugie** (co jest bardzo podobne pierwszemu), że specjalnie Polacy, tak świeccy, jak duchowni, są proszeni, choć bezsłownie, aby zaprzestali, narazie spraw tych dyskutować i w nie się wtrącać. Może to tymczasem. Powody są różne, bardzo różne, lecz — może — też i takie, które podyktowały Stolicy Apostolskiej wzięcie na siebie spraw misyjnych w dawnych koloniach niemieckich i usunięcie z nich niemieckch misjonarzy.

Są to dwie zasadnicze sprawy, od których zapewne Stolicy św. obecnie nie odwrócą żadne artykuły gazetowe, żadne nerwy, żadne opowiadania, żadne sugestie i tak zwane fakty.

Mimo, że Stolica Apostolska zdaje się nam mówić: „Nie wasze to dzieło“, uznaje ona w pełni zasługi kapłanów polskich w Rosji. Wie też doskonale, że tak znakomitego materiału psychologicznego, jak misjonarz, czy wogóle kapłan polskiego pochodzenia, dla Rosjan nie znajdzie. Ale póki w społeczeństwie polskim panują takie a nie inne nastawienia, takie a nie inne uczucia i zrosty i przyzwyczajenia myślowe — nie. Z tym trzeba się liczyć.

Są tacy, co sobie dumali tak: Ot, powiadają, zniknie obrządek słowiański w Rosji, no to i zniknie u tych niegodziwych i upartych Ukraińców. A to już najważniejsze. Wtedy niech już tam sobie będą takie szkoty polskie czy inne Walijczyki. Trudna rada. (Skaranie Boskie, gdy głupi naród własnej korzyści nie widzi.). Ale — polskie! Nie będzie już tego zawracania głowy i tych deklaracji o cerkwi grecko - katolickiej, wrogiej ojczyźnie najmilejszej. Ot, co jest!

Może też tak być, że Rosja tu na naszym pasie będzie łacińska, a Ukraina nie i nie. Wiadomo, że to naród ciemny i upór w sobie mający. Tak oto sobie myśleli i myślą, i złość ich, biedneńkich, targa, że ktoś sobie inaczej pacierz mówi — bez Kościuszki i Mickiewicza po mszy i nieszporach, boć i takie książeczki do nabożeństwa były. Ja bardzo przepraszam, że to tak po prostu z mostu o tym wszystkim mówię, lecz proszę, niech mi kto uczciwy wobec siebie, zaprzeczy, że to nie o to chodziło.

Jedno jeszcze: Mówią poniektórzy o „skostnieniu“ Cerkwi itp. Tak mówią? No, a czy nie można by pomówić o kazuistyce i talmudyźmie na zachodzie, tak czasami chociaż. I o dziwnych listach do Św. Kongregacji Obrządków czy ma być cztery, czy też pięć świeczek?...

I jeszcze jedno, na sam koniec: — te opowiadania o tych „tęsknotach“. Mój Boże! Jeśli ich ŻYCIE pragnie, i z tych terenów i z tamtych czasów, można by ich wiele mieć — tylko, że całkiem innej treści... Jak już o jednym to i o drugim trzeba by. Narazie jeszcze może za wcześnie, boć czasy wojenne niedawne, licho na tamtych terenach nie śpi, po co za wiele gadać.

Czyż nie byłoby lepiej, zamiast opowiadań, grzecznie, bardzo grzecznie poprosić: Ludzie złoci! Poznajcie teorię, zasadę, wmyślajcie się w nią. Bo teoria, najmilejsi panowie i najczcigodniejsze panie, — to rzecz bardzo praktyczna. To już Sokrates wiedział i powiedział.

Łączę wyrazy poważania

Henryk Petrykowski

(Adres znany Redakcji.)

obrządku łacińskiego w znacznej większości. Długo w niej rozmawiałem i z dorosłymi i z dziećmi: nie sądzę, bym się aż tak nie znał na ludziach, bym się przez rozmowy te dał wprowadzić w błąd: twierdzę, że ludzie ci nawrócili się ze szczerych pobudek, że ożywieni byli żarliwością i entuzjazmem i że pragnęli właśnie obrządku łacińskiego, a nie unickiego. Nie chcę niczego uogólniać, być może były okolice, gdzie rzeczy wyglądały inaczej i gdzie obrządek wschodni miał więcej szans. Nie da się jednak zaprzeczyć, że zdobycze niewidocznego, pod powierzchnią się dokonywającego procesu podbojów obrządku łacińskiego na naszych ziemiach wschodnich były duże. Tak mi się wydaje „na oko" (statystyk w tej dziedzinie zdaje się nie ma), że były one od zdobyczy obrządku wschodniego dużo większe.

10) Zagadnienie unii, akcji misyjnej i t.d., jest nie tylko zagadnieniem religijnym, ale ma także i swój aspekt polityczny. Jest faktem, że naród polski, przynajmniej w niektórych swoich kołach, ma w sprawie unii, obok wielkich zasług, także i niemałe winy. Jest jednak obok tego faktem, że ma on również i powody do skarg natury politycznej — i to jest przyczyną owych „zdenerwowań", o których pisze p. Tokarski. Cerkiew unicka w Ziemi Czerwieńskiej, która jeszcze w pierwszych latach XX wieku posiadała ponadnarodową cecnę wspólnego kościoła Starorusinów („moskalofilów"), Ukraińców i — bardzo licznych wówczas — Polaków, stała się następnie kościołem narodowym wojującego ukrainizmu, niejednokrotnie zajmującym wyraźne, nieprzyjazne nam stanowisko polityczne. Wśród cudzoziemców, przybywających do Polski jako misjonarze obrządku bizantyjskiego, trafiały się jednostki, nie rozróżniające naszych ziem wschodnich od Rosji i uważające te ziemie za jej przedsionek, a w konsekwencji, usposobione do Polski, jako niesłusznej ich zdaniem władczyni tych ziem, nieprzyjaźnie. Otóż czym innym jest Kościół, a czym innym — kwestie polityczne. W kwestiach politycznych mieliśmy i my takie same prawo bronienia swojego stanowiska i swoich praw, jak Ukraińcy, czy Rosjanie, — swoich.

Jędrzej Giertych

ODPOWIEDŹ

Mimo, że p. Giertych raczy tak obszernie polemizować z moim artykułem „Nieszczęsne złudzenie Watykanu", sądzę, że przeczytał go dość pobieżnie. Inaczej bowiem nie mówiłby o sprawach, których nie poruszałem ani nie sugerowałem i nie pisałby przy tym całego szeregu truizmów. A także nie mieszałby rzeczy i pojęć, które starałem się rozróżnić. Mój artykuł zawierał dwie myśli: a) że wieloobrządkowość należy do odwiecznego naturalnego bogactwa Kościoła, b) że stosowanie jej w dziejach i aktualnie nie jest przedmiotem „taktyki" czy „polityki" t. zw. „Watykanu", lecz naturalnym działaniem Stolicy Apostolskiej, wyrazem powszechności Kościoła w różnorodności jego liturgii.

Chodziło mi o sprawy najprostsze, a więc istotne, o czysty ton, a nie o alikwoty. Artykuł swój starałem się napisać w duchu intencji Kościoła, a nie jako powód wzburzania żółci; jako przedstawienie zagadnienia, a nie polemikę. Sprawy te były i będą omawiane na łamach ŻYCIA od strony zasady, która jest wyrażona w modlitwie Arcykapłańskiej Chrystusa „ut omnes unum sint": „aby wszyscy jedno byli".

Mógłbym po kolei przechodzić punkty listu p. Giertycha i wykazywać Mu niedociągnięcia lub przerysowania, lecz uważam to za zbyteczne, wobec faktu, że mój artykuł nie był pierwszy, który w ŻYCIU mówił o tych sprawach, ani nie jest ostatni. Przykładowo tylko, aby wykazać, że nie lekkomyślnie zarzucam p. Giertychowi brak dokładności w Jego sposobie przedstawiania, pozwolę sobie zwrócić uwagę na np. dwa następujące i stosunkowo najniewinniejsze jego ujęcia:

1) Powiada p. Giertych, że „równość wszystkich obrządków" jest „rzeczą w s z y s t k i m katolikom wiadomą". To bardzo pięknie świadczy o autorze tych słów, iż sam do tego stopnia jest pewien tej jedynie słusznej zasady, iż pewnością tą obdarza w s z y s t k i c h katolików. Ale tak niestety nie jest. W swym artykule cytowałem trzy niezwykle wymowne opinie nie byle kogo, ale inteligentnych, oczytanych pisarzy, którzy często podkreślają swój katolicyzm i o sprawach katolickich dużo i chętnie piszą. P. Giertych nie może już choćby tego zlekceważyć, jeśli nie chodzi Mu tylko o czczą aprioryczność. Ośmielę się twierdzić, że nie tylko „wszyscy" wierni nie znają dokładnie tych spraw ale i niektórzy duchowni. Jeśli p. Giertych weźmie do ręki np. angielskie prace na tematy liturgii wschodnich, przekona się, że ta nieświadomość istnieje także u części katolików i kleru na Zachodzie. W swym artykule obszernie starałem się wytłumaczyć jej powody. Zresztą jeśli chodzi np. o kodeks prawa kanonicznego Kościoła łacińskiego — to ta rowność została postawiona jasno dopiero w nowym Kodeksie. Wystarczy ten fakt, aby podać w wątpliwość apodyktyczne twierdzenie p. Giertycha.

2) Z przedstawienia sprawy przez p. Giertycha może wynikać (p.pkt.2 Jego listu), że kwestia przechodzenia z obrządku na obrządek jest zabiegiem bardzo prostym. Tak nie jest. Przechodzenie z obrządku na obrządek jest zakazane. Nie tylko łacinnik nie może przejść na któryś z obrządków wschodnich, lecz katolik wschodni nie może zmieniać swego obrządku na inny wschodni. Jeśli istnieją istotnie ważne ku temu przyczyny, kapłan musi się starać o pozwolenie u Stolicy Apostolskiej, a zwykły wierny u nuncjusza, internuncjusza lub delegata apostolskiego (Dekret z 6 grudnia 1928 roku; por. „La Liturgie et le Droit canonique", par.M. Cimetier), kapłanowi zaś nie wolno nalegać na łacinnika, by przeszedł na obrządek wschodni, ani na katolika któregoś z obrządków wschodnich, by przeszedł na obrządek łaciński (kan. 98). Zasada bowiem jest taka, że wierny przynależy do tego obrządku, w którym został ochrzczony, a w wypadku specjalnym — do tego, w którym powinien był zostać ochrzczony.

Pragnę przyznać się tu do osobistej refleksji, że nie są mi sympatyczne takie określenia, gdy mowa o istotnej działalności Kościoła, jakich używa p. Giertych, na podobieństwo niektórych Polaków, wypowiadających się w tych sprawach, jak „wszechwładne zapanowanie", „polityka kościelna" (gdy właśnie nie o politykę przecież chodzi), „zdobycie Rosji" jako „cel" tej „polityki" itp. Brzmią nieprzyjemnie, żeby nie powiedzieć złowrogo i napewno nie mogą być przyjmowane przez zainteresowanych, w tym wypadku Rosjan, bez zadrażnień. Jakież to „ziemskie środki" chce się proponwać, gdy chodzi o teren, który pod żadnym względem nie jest naszym terenem? Jeśli chodzi o Rosję w przyszłości chrześcijańską, wszystko, co jest naszym obowiązkiem, przywilejem, możnością i przykazem chrześcijańskiego taktu jest modlitwa i zrozumienie samej zasady, nie zaś obszywanie jej w kolące podszewki nacjonalistycznych zacnianek. Ani Kościół, ani np. katolicy angielscy, francuscy, niemieccy niczego tu Rosji nie narzucają. Pocóż Polacy mają wychodzić do niej ze swymi, mówiąc delikatnie, sugestiami w sprawach, o których zadecydują sami Rosjanie bez względu na to, czy to rozwiązanie będzie czy też nie będzie podobało się ich sąsiadom?

W punkcie 6-ym swego listu czyni p. Giertych trochę niesamowite i dziwnie subiektywne rozróżnienie wiernych na takich, którzy mają warunki do uformowania własnego zdania, aby przez głoszenie go przyczynić się „do zmiany polityki kościelnej" — i na takich, którzy tych warunków nie mają... Oczywiście, jest prawem katolika dopomagać Kościołowi we wszystkim, co może mu przynieść pożytek. A nawet odkąd istnieje Akcja Katolicka, t.j. od 44 lat, jest to i obowiązkiem i to tak wielkim, że Pius XI powiedział kiedyś: „Nie potrafię rozgrzeszyć katolika, który mogąc, nie należy do Akcji Katolickiej". Ale... są pewne sprawy i istnieje taki rodzaj „rad", płynących nawet z najlepszej s u b i e k t y w n i e pobudki, że można w odpowiedzi usłyszeć to, co usłyszał Piotr, radzący Jezusowi z najlepszego serca (i z najskrytszych wyrachowań osobistych i nacjonalistycznych), by wreszcie przestał opowiadać, iż potrzeba, aby Syn człowieczy cierpiał i tak wszedł do chwały swojej: — „Idź precz, szatanie"!

P. Giertych aprobująco (pkt. 9 listu) pisze o zawstydzających sprawach, że „proces przechodzenia prawosławnych (eks-unitów i eks-łacinników) na obrządek łaciński toczył się... i w Polsce niepodległej nie tylko na Podlasiu, lecz na całych ziemiach wschodnich". — To jest jedyny wypadek, kiedy jestem skłonny zgodzić się na terminologię p. Giertycha o **„podbojach** obrządku łacińskiego". Świeżo o tych smutnych i bolesnych sprawach napisał J. E. X. Bp J. Gawlina: **„ gdy przed ostatnią wojną pewne czynniki w celach nie religijnych lecz politycznych zabierały się zgubnymi metodami do t.zw. nawracania kresów wschodnich, to już o miłości mówić niesposób. Zdawało się, jako by Polska XV wieku wołała do tych samozwańców: Vos ferro? Ego amore!"** (Wy żelazem? A ja miłością). Tak, to były podboje naprawdę! Misjonarzami byli oficerowie, policjanci, starostowie, a apostołami wojewoda wileński i poleski (Kostek-Biernacki!). Coś by o tym mogli powiedzieć OO. Jezuici z Albertyna, Kapucyni z Polesia, Marianie z Drui, nasi bracia Białorusini i Ukraińcy. Istotnie, przy tak oryginalnych metodach „nawracania", szanse obrządku wschodniego nie były zbyt wielkie. Mimo to jednak samych Białorusinów przeszło z prawosławia na obrządek wschodni około 20.000.

Na temat „historycznych zasług narodu polskiego" w sprawach Unii wolałbym się tu i tym razem nie wypowiadać. (Bardzo dyskretnie zarysowany obraz prawdy mamy w encyklice „Orientales omnes Ecclesias"). Ale nie chciałbym pominąć wypadu p. Giertycha w stronę Ukraińców. To prawda, że zagadnienie Unii itd. ma także, niestety, swój aspekt polityczny. Właśnie p. Giertych w tym punkcie swego listu dostarcza na to dowodu. P. Giertych wie chyba dobrze, jakie są także religijne przyczyny konfliktu ukraińsko-polskiego, wszelkie próby polonizacyjne itd., jak myśmy sami przyczynili się do tego, że to, co jest tak znamienne w tej części Europy i co jest także siłą i słabością polskiego katolicyzmu: to znaczy związek religii z narodowością, nabrał u Ukraińców takiego zabarwienia, które go razi u nich, natomiast nie dostrzega tego samego zjawiska u nas, czy gdziekolwiek indziej. Wszelki nacjonalizm ciasny, przesadny, czyli szowinizm jest szkodliwy, ale nie t y l k o ukraiński. Szkodliwy jest szowinizm i polski i niemiecki i włoski i angielski i każdy inny. Jest zaś cechą już historyczną, że w tamtej części Europy w chwilach ucisków i prześladowań jak u nas za rozbiorów, jak na Bałkanach w czasie panowania tureckiego, o odporze i wytrwaniu decyduje religia. Ona to uskrzydla patriotyzm, lecz prawie zawsze, (bo atmosfera katakumb może rodzić i rodzi bohaterów, ale nie jest atmosferą normalną), z kolei, patriotyzm, wyrodzony w gruby nacjonalizm, materializuje religię: Wiąże ją nadmiernie i z miejscem i z obyczajem i z kulturą i z tradycją.

Jan Tokarski

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

BODŹCE GOSPODARCZE

NA pierwsze miejsce w zagadnieniach gospodarczych świata zachodniego a zwłaszcza Anglii wysuwa się ostatnio sprawa t. zw. incentive czyli bodźca do pracy. Dawne, zasobne czasy Europy, kiedy głównym zagadnieniem był rozdział dóbr, minęły. W tamtych czasach zrobił swoją wielką karierę polityczną socjalizm, walcząc skutecznie o wzmożenie udziału pracowników w rozdziale dóbr. Dziś więcej się zaczyna mówić, nie o tym jak dzielić, ale o tym jak zrobić, żeby było co dzielić.

Ostatecznie źródłem bogactwa jest praca ludzka, bo nawet owoc na drzewie nie ma wartości, jeżeli go się nie zerwie. To też im mniej ludzie pracują, tym społeczeństwo jest uboższe. Człowiek z natury nie lubi pracować, konieczne są więc jakieś czynniki, które go do pracy skłaniały. Najpierwotniejsze z tych czynników to głód i zimno. Ale gdyby ludzie poprzestawali na tej ilości pracy, jaka konieczna jest dla uchronienia się od głodu i zimna, nie byłoby cywilizacji.

Szkoła liberalna w ekonomii, wyrazicielka kapitalizmu prywatnego, sprowadzała bodźce pracy do jednego: człowiek wedle niej w działalności gospodarczej kieruje się jedynie chęcią zysku. Za tym celem zasadniczym i bezpośrednim stać mogą jakieś dalsze rozmaite motywy ale silnikiem poruszającym „człowieka ekonomicznego" jest dążenie do zysku. Reakcją na tę teorię i usankcjonowany przez nią wyzysk człowieka przez człowieka był socjalizm. Przyszła gospodarka socjalistyczna miała usunąć bodziec zysku całkowicie. Lenin, uważany przez niektórych za wielkiego myśliciela, pisał, że nadejdzie dzień, gdy robotnik „nie będzie więcej kalkulował z chytrością Szajloka czy nie pracował czasem pół godziny więcej niż inny, czy nie otrzymuje mniejszej płacy niż inny" bo „konieczność zachowywania zwyczajnych podstawowych praw stosunków ludzkich stanie się przyzwyczajeniem".

W ustroju stworzonym przez Lenina i towarzyszy istotnie bodziec zysku zeszedł na dalszy plan. W systemie tym głównym bodźcem pracy stał się strach. Człowiek w pierwszym rzędzie myśli tam nie o zysku z pracy ale o tym, co go spotka, jeśli źle będzie pracował. Owo „co" przyjmuje postać widma śmierci w łagrze, utraty wolności, głodu, bicia w śledztwie, zsyłki, oderwania od rodziny. Bodziec strachu nie jest nowy w życiu gospodarczym świata. Był on głównym bodźcem wszystkich systemów niewolniczych od starożytności po dni nasze. Toteż jeżeli system wolnej konkurencji oparty na bodźcu zysku był zły, to system kolektywistyczny oparty na bodźcu strachu jest jeszcze gorszy i wsteczniejszy.

Partia Pracy w Anglii starała się zmniejszyć rolę bodźca zysku przez wysokie minimum zarobków, opiekę społeczną wszelkiego rodzaju i bardzo wysokie opodatkowanie zysków, sięgające przy wielkich sumach niemal ich całości. W miejsce bodźca zysku nie dano jednak innego, nie wprowadzono strachu ale także i nic innego skutecznego. W myśleniu materialistycznym rzeczywiście nie ma wyjścia z tej sytuacji. Skrajna prawica w Brytanii woła o przywrócenie władztwa bodźca zysku, skrajna lewica o wprowadzenie bodźca strachu.

Ale i w tym zmaterializowanym społeczeństwie niektórzy zaczynają dochodzić do rewelacyjnego dla nich odkrycia. Tak naprzykład ostatnio Sir Alexander Gray, przedstawiwszy, że „social security" czyli bezpieczeństwo społeczne i „rozsądny poziom życia" wykluczają „ostrzejsze formy bodźców", widzi jedynie wyjście w „wyłonieniu wyższej moralności".

Przez dwieście blisko lat powtarzano o „żelaznych prawach ekonomii" i uwikłane ze sobą w walkę oba odłamy materializmu, liberalny i socjalistyczny, z szyderstwem traktowały wszelkie „moralizowanie" katolickie. Dziś zaczyna wychodzić na jaw cała naiwność materialistów, którym się zdawało, że zbadali człowieka. W istocie wiedzieli oni o człowieku ekonomicznym mniej niż scholastycy średniowieczni, którzy nie słyszeli nigdy o „rynku pracy", „nadwartości" i „potrzebie krańcowej".

Człowiek po zaspokojeniu głodu i potrzeby ciepła pracuje dla różnych motywów, z różnych wcale silnych bodźców. Z miłości naprzykład, z miłości do rodziny; z ambicji, z poczucia obowiązku. Cystersi zmienili oblicze gospodarcze Europy w ciągu wieku: ich bodźcem nie była chęć zysku doczesnego ani strach doczesny. A jeśli była tam chęć zysku wiekuistego i strach przed karą wiekuistą, to ustępowały one pierwszeństwa bodźcowi miłości chrześcijańskiej. Społeczeństwo jest tym zdrowsze i silniejsze, im większą rolę w jego życiu gospodarczym gra bodziec miłości: Boga, ojczyzny, rodziny, siebie samego (w postaci uczciwej ambicji). Najtrwalsze dzieła gospodarcze powstają z motywów ponadgospodarczych. Kolumb np. nie pojechał odkrywać Ameryki z motywów gospodarczych i ani przypuszczał, że zmienia geografię gospodarczą.

Ani bodźca strachu w pewnych postaciach ani tymbardziej bodźca zysku nie da się wykluczyć z życia gospodarczego. Ale podnieść trzeba w nim znaczenie i rolę bodźców innych, niedostrzegalnych i tłumionych przez materializm, bodźców wyższego rzędu ale nie mniej realnych i znaczących w ekonomii.

To, o czym ogólnikowo wspomina angielski ekonomista, w bardzo wyraźnej formie zostało wyrażone przed bezmała sześćdziesięciu laty. Encyklika „Rerum Novarum" obraca się dookoła tych trzech myśli: „Nie zrozumiemy życia śmiertelnego i nie pojmiemy jego prawdziwej wartości, jeśli się nie wzniesiemy do poznania drugiego, nieśmiertelnego życia"; „Jeśli społeczeństwo dzisiejsze ma być uleczone, to stanie się to tylko przez odnowienie życia chrześcijańskiego i instytucji chrześcijańskich"; „Upragnionego ratunku bowiem można się spodziewać tylko od szeroko rozlanej miłości tj. chrześcijańskiej miłości".

Nie nowe? Może. Ale prawdziwe.

Wojciech Wasiutyński

CHCIAŁBYŚ POJECHAĆ Do RZYMU NA ROK ŚWIĘTY

Może nie uda Ci się pojechać z pielgrzymką, kup więc sobie piękną, obficie ilustrowana książkę

G. MORCINKA

LISTY Z MOJEGO RZYMU

a wczujesz się w nastrój Wiecznego Miasta: Stron 147 i 41 ilustracji.

Cena tylko **1/6** z przesyłką

„VERITAS", 12 Praed Mews, London W2

JÓZEF JASNOWSKI

POECI PIERWSZEJ EMIGRACJI POLSKIEJ W ANGLII (1830—1863)

POETA Z WŁASNĄ DRUKARNIĄ

1. W dniu 18 lipca 1851 odbyło się w Cremorne Garden w Londynie skromne a zarazem uroczyste przyjęcie, urządzone przez kilkudziesięciu członków ogółu emigracji polskiej dla uczczenia generała Henryka Dembińskiego, który niedawno przyjechał z Europy, zapewne dla odpoczynku po trudach bojowych. Dla uświetnienia tego przyjęcia oraz dla dodania szczypty soli attyckiej do potraw i napojów, jeden z uczestników, Aleksander Radwan Rypiński, wystąpił z wierszem, napisanym specjalnie na cześć dostojnego gościa, zaczynającym się od słów:

Po tylu więc kłopotach i trudach i chwale,
Znowu tu między nami stawasz, jenerale
Podzielić chleb tułaczy — ciężki chleb niestety
Jednak milszy tu suchy niż wrogów pasztety.

Dembiński, jak przystało na generała, na poezji się nie znał, ale że to, co mu czytano „rymowało się" i że do niego było skierowane — nie omieszkał pochwalić autora. Za generałem poszła reszta uczestników (prawie wszyscy byli oficerowie); nie poprzestając na tym, uchwalono, że Rypiński wyda ten poemacik drukiem, obciążając kosztem organizatorów przyjęcia dla generała. Rypiński przystał na to z wielką ochotą, tym bardziej, że już wówczas **posiadał własną drukarnię.**

2. Uprzednie koleje losu Rypińskiego były takie: szkołę średnią ukończył w Witebsku a podchorążówkę w Dyneburgu, skąd został wysłany na staż do jednego z pułków, stacjonowanych na prowincji (w 1829). Po wybuchu powstania listopadowego wziął czynny udział w walce, awansując szybko do stopnia kapitana. W r. 1831, z niedobitkami armii polskiej, przedostał się (via Malborg) do Prus a stąd do Francji, gdzie przebywał z górą dziesięć lat, przenosząc się z miejsca na miejsce.

Około 1844 zjawił się w Londynie i przez pierwsze kilka lat pracował jako zecer i litograf. Doskonała znajomość języka francuskiego oraz matematyki i rysunków pozwoliła mu z czasem uzyskać stanowisko nauczyciela tych przedmiotów aż w trzech szkołach średnich w hrabstwie Middlesex, w Stamford Hill, Tottenham i Edmonton (miejscowości te nie były jeszcze włączone do obszaru wielkiego Londynu). Litografią i drukarstwem zajmował się jednak nadal i uciuławszy nieco grosza, kupił sobie własną drukarenkę (5, Grove Place, Tottenham), z myślą, że będą u niego drukować swoje dzieła bracia-emigranci a on sam własne wiersze i że będzie miał z tego dochód i sławę.

3. Z poezją bratał się Rypiński od wczesnej młodości; już jako uczeń gimnazjum składał niewinne i banalne wierszyki miłosne. Dostawszy się do podchorążówki — rozszerzył swoją tematykę, ale talentu nie ujawnił, Nałóg wierszowania nie odstąpił go i w latach późniejszych; zarówno w czasie pobytu we Francji jak i w Anglii — Rypiński stale układał wiersze i miał ich zbiór niemały — nie miał jedynie możności i odwagi wydać ich, choć bardzo tego pragnął. Dopiero pochwała gen. Dembińskiego i zachęta przyjaciół — emigrantów dała mu do tego bodźca.

Co więcej: uznany publicznie za poetę — Rypiński uświetniał recytacjami swych utworów każde znaczniejsze przyjęcie, urządzane przez braci-emigrantów w Londynie. Gdy w dniu 11 lipca 1853 grono historyczne polskie wydało skromną ucztę na cześć ks. Adama Czartoryskiego — nasz poeta wystąpił znów z wierszem zaczynającym się od słów:

Bracia, choćbym nie wiedział gdzie skierować słowa
Przyciągnie je jak magnes ta ślachetna głowa!
W usługach dla ojczyzny pobielała cała,
O! ile to po klęskach klęsk ona widziała.

4. W latach 1852-1857 emigranci polscy w Anglii a w Londynie w szczególności zasypani zostali tomikami poezji Rypińskiego. Wystarczy powiedzieć, że na przestrzeni tych pięciu lat wydał ich, wkłasnym nakładem i we własnej drukarni, aż **czternaście.** Na treść zawartych w nich utworów składają się: — drobne, przeważnie okolicznościowe wiersze, pisane w latach 1827-1847 w Polsce, we Francji i w Anglii — trzy większe poematy („Niaczyścik", „Sierżant-Filozof" i „Dwa objaśnienia"),

— dwa przekłady z angielskiego: K.S. Fergusona „Poland" i T. Moore „Raj i Pevy",

— tłumaczenia kilku utworów Rypińskiego na język angielski, dokonane przez Anglika, poetę A.D. Daniel.

Poezji w tych wierszach bardzo mało a mniej jeszcze w większych poematach; tematyka ich uboga — (przeważnie osobiste przeżycia), podobnie jak i jzęyk, pełen prowincjonalizmów. Równie uboga jest wyobraźnia poetycka autora, obracająca się stale wokół czysto polskich spraw emigracyjnych i wspomnień osobistych. Jeśli dodamy do tego prymitywną ekspresję poetycką, przechodzącą niemal w rymowaną prozę oraz stale kulejącą rytmikę — otrzymamy całość, która kwalifikuje Rypińskiego jako poetę stojącego bardzo daleko od szczytów Parnasu.

Jest wśród jego utworów kilka pisanych po białorusku i te — mimo swej naiwności—mają jeszcze najwięcej bezpośredniego wdzięku. I jeśli może on być czemś w literaturze — to chyba tylko **pierwszym poetą białoruskim,** co pisał i drukował wiersze na emigracji, w Anglii.

II KLIENCI RYPIŃSKIEGO

1. Na owym przyjęciu w Cremorne Garden było — prócz Rypińskiego — trzech jeszcze uczestników, którzy uważali się za obdarzonych talentem poetyckim a mianowicie: Jerzy Ręczyński *), Leon Jabłoński, tłumacz „Konrada Walenroda" na język angielski **) oraz Napoleon Feliks Żaba. Ten ostatni ujawniał na emigracji zadziwiająco wszechstronną działalność jako poeta, historyk, mnemotechnik i obrońca praw kobiet. Umiał również nieźle chodzić koło własnych interesów.

Jako poeta dał się poznać już w rok po przybyciu do Anglii, publikując w r. 1832 zbiór swoich poezji w przekładzie angielskim, dokonanym przez Henryka Montriou p.t. „Polish Exile". Trudno osądzić talent autora na podstawie tego zbioru, gdyż jeśli jest w nich coś godnego uwagi, to jest to niewątpliwie zasługą tłumacza. Że Żaba był poetą bardzo pośledniego gatunku, tego dowodzi zbiorek jego polskich wierszy wydany w r. 1852 p.t. „Nadzieja".

Nostalgia za krajem, poczucie osamotnienia i niepewność własnego jutra — oto podłoże z którego wyrosły tematy utworów pomieszczone w tym zbiorze. Ich poetycka wartość nie odbiega jednak w niczem od utworów Rypińskiego, z którego drukarni owa „Nadzieja" wyszła na świat.

2. Owe 14 tomików wierszy Rypińskiego podziałało zachęcająco na innego emigranta, pułkownika Juliusza Przyjemskiego, który również, od wielu już lat, hołdował muzie poezji,

Koleje losu Przyjemskiego były w przybliżeniu takie: urodzony w r. 1820 w Tarnopolu, ukończył tamże gimnazjum Jezuitów a następnie udał się do Lwowa na uniwersytet. Zamiłowania żołnierskie rozbudziły w nim opowiadania gen. Narboniego, (ongi napoleońskiego pułkownika a później austriackiego feldmarszałka), zaprzyjaźnionego z rodziną Przyjemskich. Zapewne pod wpływem jego opowieści o kampaniach napoleońskich — młody Juliusz zbiegł z domu rodziców i udał się na Węgry, by wziąć czynny udział w powstaniu. Walczył tam w oddziałach dowodzonych przez gen. Bema i w bezpośredniej z nim styczności. Od niego również, jak się zdaje, otrzymał szlify pułkownikowskie. Gdy powstanie upadło — Bem zamierzał kontynuować akcję bojową z terenu Turcji i namawiał Przyjemskiego by udał się z nim pod opiekę sułtana i przyjął mahometanizm. Ta ostatnia propozycja zniechęciła go do wyprawy do Turcji. Przedostawszy się do Anglii z grupą powstańców węgierskich osiedlił się w Londynie i wsiąkł z biegiem lat w biedne życie emigracyjne.

Jedyną pociechą jego wygnańczego żywota były wspomnienia szczęśliwej miłości i późniejszych walk na Węgrzech oraz wierszowanie, które uprawiał po polsku i po niemiecku a także — jak się zdaje — i po angielsku.

Pierwszy tomik swoich poezji wydał w r. 1856 (w drukarni Rypińskiego) pod barokowym nieco tytułem „Słów kilka o tem co śni serce i czem dusza wre", dedykując go „Siołu Isaków, brzegom starego Dniestru, gdzie mi się urodziła córka, miastu Tarnopol, gdzie matka moja mieszka i gdzie sam się rodziłem".

Część pierwsza tego tomiku poświęcona jest wierszowanej historii Polski, ze szczególnym uwzględnieniem roli jaką w niej odegrał ród Przyjemskich. W części drugiej jest kilka banalnych bajek oraz wiersze okolicznościowe i liryki, związane z osobistymi przeżyciami autora. Ta pierwocina talentu pułkownika Przyjemskiego jest dość uboga nietylko w liczbę stron ale i w poezję, która ma niezbyt podniebny lat, zwłaszcza w owych „rapsodach historycznych".

On sam jednak, jak na autora przystało, był bardzo szczytnego mniemania o swych wierszach; to też w rok później wydał owe „słów kilka" w języku angielskim, zmieniwszy nieco ich treść, pod równie barokowym tytułem „Sketches of the Polish Mind. The Legend of Przyjemski's Rau". Jest to, jak się zdaje, przekład dokonany przez któregoś z angielskich przyjaciół autora, niewiele jednak, co do walorów poetyckich, odbiegający od polskieko oryginału .Wydając go, Przyjemski wystąpił nietylko jako poeta ale i jako przewidujący polityk wizjoner. „Wcześniej czy później — pisał we wstępie do owych „Sketches" — Anglia albo musi połączyć się z Rosją we współrządzie Europą, opartym na systemie stosowanym przez Kompanię Wschodnio-Indyjską, tak dogodnym dla caratu, albo też, przemógłszy wielkodusznym instynktem narodu małostkowość swoich polityków — wystąpi przeciwko niej zbrojnie, przy użyciu wszelkich dostępnych jej środków czerpanych ze wspaniale rozwiniętego uprzemysłowienia i uderzy w ów kolos na glinianych nogach, udający tylko pozory bogactwa i potęgi, oparty na niewolnictwie i przemocy". Pisane to było w r. 1857, równie 92 lata temu wstecz!

Trzeba tu równie nadmienić, że tomik owych „Sketches" doczekał się pochlebnej oceny w znanym wówczas tygodniku literackim „Athenaeum"

Nie poprzestając na literaturze polskiej i angielskiej — Przyjemski postanowił zapisać swoje imię również i w literaturze niemieckiej, publikując w r. 1857 (również u Rypińskiego) zbiorek swoich niemieckich wierszy zatytułowany: „Bitter—Tropfen der Erfahrungen".

Credo poetyckie autora tego zbiorku wypowiedziane jest w następującym czterowierszu:

Poesie ist Aug' der Seele
Oft stumm blickend und ohnmächtig
An der Herzentempels Schwelle
Keines Schritts noch Wortes mächtig.

Język niemiecki, sądząc z owego zbiorku, Przyjemski znał doskonale, ale talentu — używając go w poezji — nie ujawnił ani na jotę więcej niż w utworach publikowanych po polsku i po angielsku. Ostatnim jego dziełem napisanym na emigracji jest dramat „Wanda", wydany po angielsku (w przekładzie A.M.M) w r. 1863, osnuty na znanym motywie legendarnym z pradziejów Polski (Krakus, Wanda, Rytygier).

III TRZEJ RÓWIEŚNICY

Obraz poezji pierwszej emigracji polskiej w Anglii byłby bardzo blady, upiornie blady, gdyby jedynymi jej przedstawicielami była owa grupa rymopisów, skupiająca się wokół drukarni Rypińskiego. Tak źle jednak nie jest. Przebywało przez pewien czas na tej wyspie trzech autorów, którzy — choć dokonali gdzieindziej swego tułaczego żywota — należą częścią swej twórczości do grupy poetów pierwszej emigracji polskiej w Anglii. Autorami tymi są: Tomasz August Olizarowski, Stanisław Koźmian i Michał Budzyński.

T. A. Olizarowski (1811 — 1879) najlepiej jest znany jako tłumacz francuskich utworów Mickiewicza na język polski. W Anglii, dokąd przybył w r. 1836 z więzienia austriackiego w Trieście, pozostawał około 10-ciu lat; tu również wydał pierwszy zbiorek swoich poezji p.t. „Exercycje poetyckie" (Londyn, 1839), dzięki zasiłkowi na koszta druku w wysokości £ 20, przeznaczonemu przez Literackie Towarzystwo Przyjaciół Polski.

Poza owym tomikiem oraz wystąpieniem na koncercie w Stafford House (w czerwcu 1841) z recytacją swych wierszy — Olizarowski nie ujawnił żadnej szerszej działalności literackiej na emigracji w Anglii; mimo to cieszył się sławą znakomitego poety, co go jednak nie powstrzymało od opuszczenia wyspy (w 1845) i poszukania sobie lepszego klimatu dla swych aspiracji poetyckich we Francji.

„Exercycje" są zbiorem kilku drobnych utworów z których najobszerniejszy „Krzyż w Poredylu" osnuty jest na tle najazdu Tatarów na Polskę. Mimo, iż są to dopiero pierwociny jego twórczości — zdradzają one w autorze prawdziwego poetę. Uderza w nich przede wszystkim śmiałość metafory i umiejętność obrazowania poetyckiego, świadcząca o silnym wpływie pierwszych poematów Mickiewicza. Jedyny zarzut jaki można postawić utworom Olizarowskiego, zawartym w owym tomiku, to ich zbytnia rozwlekłość oraz niedbałość o język. W tym samym roku co i Olizarowski opuścił Anglię jego rówieśnik i poeta o niezaprzeczalnych zasługach dla literatury polskiej, Stanisław Koźmian (1811 — 1885).

Koźmiana związki z emigracją polską w Anglii i jej sprawami były wielorakie i wszechstronne. On pierwszy starał się zapoznać Anglików z młodą literaturą polską a w szczególności z Mickiewiczem, publikując szereg artykułów na ten temat, co mu tym łatwiej przyszło, że znał doskonale język angielski w mowie i w piśmie. On również informował Kraj (swymi korespondencjami z Londynu) o aktualnych zjawiskach politycznych i kulturalnych Anglii a swymi przekładami poetów z XIX wieku i popularnym opracowaniem Shakespeare'a wielce się przyczynił do zaznajomienia go z literaturą angielską.

Na emigracji w Anglii — poza artykułami do prasy angielskiej — nie opublikował żadnego większego utworu literackiego. Pisał jednak sporo i to, co tu napisał, wydał dopiero w kilkanaście lat później, już po powrocie do Kraju.

Dokończenie na stronie 6-ej

*) Zob. nr. 17/96 „Życia" z dn. 24 kwietnia 1949.

**) Zob. nr. 34/67 „Życia" z dn. 3 października 1948.

MICHAŁ BUDZYŃSKI

Sonety

1. Jazda morska

Noc cicha, jasna—niebo się nagina
Do ledwie z wiatrem pomarszczonej fali;
Morze łagodnem szemraniem się żali
Że statek szyby kryształu rozcina.
Z miękkich fal wody muszliny napina
Bije go z lekka i odpycha dalej,
Żeby nie przerwał igraszek delfina,
Nie mącił wody na łożu korali.
Nad brzegiem statku stał podróżny młody
Zroszone oczy ku północy zwracał;
Blask gwiazd, co fale błękitu pozłacał,
Osłaniał smutkiem zorane jagody.
Kto był podróżny, gdzie go niosły wody?
Nie wiem, lecz pewnie do swoich nie wracał.

2. Burza

Czarny horyzont—wicher rozhukany
Z miękkich fal wody ostre skały tworzy;
Okręt jak nurek chowa się w bałwany
Maszt jak służalec głowę swoją korzy.
Zwijajcie żagle! Wiatr się coraz sroży —
Po linach pnie się majtek zadyszany,
W chmurach wygląda opiekuńczej zorzy
A w sercu żegna domku swego ściany.
Podróżny śmiał się — wzrok swój w gniewną wodę
To w czarne chmury horyzontu nurza.
Jego nie wrócą w ojczystą zagrodę
Ani wiatr błogi ani wściekła burza.
Śmiej się podróżny! I w morza głębinie
Wolno ci marzyć o kraju, rodzinie.

1836, na statku brytyjskim z Triestu do Londynu.

STANISŁA KOŹMIAN

SONETY

1. Promień

Jako ptak z cyprysowej gałązki spłoszony
Niespodzianem wejrzeniem rannego promyka,
Tak me serce się wznosi, z radości odmyka,
Kiedy nań padnie światło od rodzinnej strony.

Z tym zwiastunnym promieniem ma dusza pomyka
Niby pył wirem światła do góry niesiony;
Zda się pędzić — choć cisza — z wiatrami w przegony—
I pod domową strzechę pokryjomu wnika.

Tu porzuć mnie promieniu, tu rozstań się ze mną,
Na cyprys mnie nie odnoś, tam tak tęskno, ciemno,
Sierotą byłem w życiu ach błagam cię o to —

Niech przynajmniej po zgonie nie będę sierotą.
Pozwól, ach pozwól, zgasnąć gdzie młodość przeżyłem:
Paść cicho na grób ojców niewidomym pyłem.

2. Wiejski kościółek w Barnet

Spokojne wieczną wiosną umajone sioła,
Sto bogatych pałaców i chatek tysiące,
Gdzie szczęście w wiecznej wiośnie jak trawka na łące
— Takich scen moja pamięć pełno przyzwać zdoła.

Wiejski kościółek bluszczem owity dokoła,
Gdzie jeno skrucha wchodzi, gdzie czystością tchnące
Tylko serca wychodzą. Nieraz łzy gorące
Roniłem w cichych progach takiego kościoła.

Lecz dziś dopierom ujrzał tę, dla której szczerą
Dłonią chciałbym zwić łąk tych najkraśniejsze kwiaty,
Złączyć te wiejskie tony w hymn cześci bogaty

Tusząc, że w tem nie znajdzie śmiałości za wiele;
Bo mój hołd tak jest czysty, jakbym wstał dopiero
Od modłów za jej szczęście w tym wiejskim kościele.

ALEKSANDER RADWAN RYPIŃSKI

List do...

Synogarliczko moja! ptaszku mój jedyny!
Powiedz, gdzieżeś latała? w jakie to krainy?
I nie chciałaś, stęsknionym za tobą w żałobie,
Ni przysłać umyślnego, ni dać znać o sobie!
Mówiono tu żeś w Niemczech — lecz Niemcy szerokie
Przyjść do ciebie nie można, bo morze głębokie.
Popłynąć nie ma za co — kieszeń bo tułacza
Nie dorównywa chęciom choć serce rozpacza.
Pisać — gdzie? bez adresu? — a chciało się szczerze.—
Te były co dzień, co dzień duszy mej pacierze.
Nie wskazałaś kierunku, bo chciałaś zapewna
By po tobie tęskniła wiecznie pamięć rzewna.
Powróciłaś, to prawda, z tobą świat uroczy!
Lecz zapóźno — bo do dna wypłakałem oczy.

Londyn, 1847.

NAPOLEON FELIKS ŻABA

Do mego syna Stanisława

Niebieski węzeł łączy nasze życie —
Ja twoim stróżem, tyś moją nadzieją
Dni twoje w samym są świcie
Moje jesiennym wieczorem szarzeją.

I długie pasmo mojego zawodu
Doznało różnej kolei,
Lecz dzień mojego zachodu
Ty zdobisz miłym uśmiechem nadziei.

A gdy dojrzałość myśli i uczucia
W duszy i w sercu roztleją,
Wśród różnych ponęt i świata zepsucia
Pamiętaj, — że twe życie moją jest nadzieją.

JULIUSZ PRZYJEMSKI

Nie tak jak u nas

Rosną fijołki na pobliskiej łące, —
Kuka kukułka w sąsiedniej dąbrowie;
Lecz ni fijołki tak mile pachnące,
Ni głos kukułki tak miły w połowie —
Jak u nas w Polsce, kiedy z pierwszą wiosną,
Kuka kukułka i fijołki rosną.

Migają gwiazdy, srebrny księżyc świeci
I noc pogodna ziemię do snu tuli,
Ale tych marzeń w duszy mej nie nieci,
Ani mi serca równie nie rozczuli —
Jak u nas w Polsce, gdziem przez nocy jasne,
W twarzy księżyca czytał myśli własne.

Ludzie mnie lubią, witają mnie szczerze
I często dają przyjaźni dowody;
Lecz mnie ich przyjaźń za serce nie bierze
I ledwie cieszy, a nie tak jak wprzódy,
Jak u nas w Polsce, gdziem sam kochać umiał
I serca drugich dzielił i rozumiał

W bliskim smętarzu druhy i sieroty
Chodzą odwiedzać drogich nieboszczyków.
I mnie tam także,, gdy umrę z tęsknoty
Odwiedzi kilku przyjaciół Anglików.
Nie tak jak u nas, gdzieby przy mym grobie
Płakała matka i córka w żałobie.

TOMASZ AUGUST OLIZAROWSKI

Podróżny w Wenecji

Podróżny zwykle duszy jest dwoistej:
Jedną przylega do ziemi ojczystej
Drugą nieznane oblatuje strony
Skąd czerpa mądrość — czasem ulgę świętą
Obciążonemu sercu. Nieuśpiony
Geniusz krainy, wiarą niepojętą
Otacza zmysły podróżne; niebiosy,
Lądy i wody na jego rozkazy,
Łączą się, tworzą czarowne obrazy
I śmią łagodzić podróżnego losy.

Wenecjo! córko piękniejszej przyrody!
Pod twojem niebem cudzoziemiec młody
Przybył odetchnąć, przybył pełen wiary,
Że ty, cudowna, zdołasz rozpogodzić
Umysłu jego posępne obszary,
Naprawić serce, cierpienia złagodzić
Obmyślić ulgę i życie osłodzić.
Jeśli się zadość stanie cierpiącemu—
Wenecji chwała, błogo podróżnemu.

Słońce do morza zaszło zmyć dzień z czoła
Wieczór wygładza falujące koła,
Z wodnistych światów Genijusze zmroku
Mokremi stopy dążąc ku obłoku
Darzą świat ziemski kroplistemi rosy.
Niezmordowane gondolierów głosy,
Szept flag, plusk wioseł po lagunach grodu,
Na placu Marka, w zacieniach ogrodu
I na rialto kilka scen miłośnych,
W samej zaledwie Wenecii głośnych —

Oto co dowieść chcę życia narodu!
Jednak tu ludzie i starzy i młodzi
Z uroczystością wyglądają wschodu
Czy życia, szczęścia, wolności narodu?
O! to niestety nie dla wszystkich wschodzi;
Oni czekają zwyczajniejszej rzeczy—
Wschodu księżyca!
— księżyc z poza ziemi
Wstaje nad morza z blaski szerokiemi
Przenasza, ciągle od zórz pilnowane,
Bo nad Wenecją czoło zadumane
I świat czaruje mocą swych promieni.
Ziemianie, więcej niźli zachwyceni.
Ich życie zda się na czas zawieszone,
Otworem oczy i uczucia mieli
I wiele wrażeń posilnych przyjęli.
Podróżny także zachował milczenie
I miał w cierpieniach ulgę — zapomnienie
I na umyśle miał ślad jakiś święty!
Monarcha nocy zniżył górne skronie
Szum po ulicach wiosłami poczęty
Wzmagały wiatru ochłodzone dłonie.
Jak po obchodzie tryumfalnym ludzie
Śpieszą do domów — odetchnąć po cudzie.
Coraz i coraz rzadziej igra fala
Muzyka wioseł coraz się oddala
Miasto usnęło! *)

Londyn, 1839.

*) Opuszczono kilka ustępów z tego wiersza, zawierających nieaktualne już aluzje polityczne.

ERZY RĘCZYŃSKI

Spotkanie braci tułaczy

Dziś Pan Jerzy z Ludwinowa
Ma gości u siebie!
Czyste serce, wolna głowa —
Wesoło jak w niebie.
Jedzą, piją, lulki palą,
Otwartość na czole;
Mało stancji nie rozwalą
Żartami po stole.
Choć napitek w kolej krąży
Zakrapiać mięsiwa,
Lecz do zbytku nikt nie dąży —
Ztąd chwila szczęśliwa.
Tu w ćwierć wieku raz się zdarzy,
Że biedni tułacze,
Z piętnem smutku na ich twarzy
Cieszą żal i płacze.
Te spotkania ich tu razem
Jest dziełem przypadku;
Ale Polak nie jest głazem
Choć nie ma dostatku.
Więc się cieszą raz złączeni,
Gdyż jutro niepewne
I choć któren podrumieni
Twarz i usta śpiewne —
To z nich płynie zdrój tęsknoty
Za krajem, za domem,
Albo z pięści lecą groty
Jak gromy za gromem.
Deszcz błyskawic i ataki
I piechoty i konnicy
I jeziora, góry, krzaki
I dzielność prawicy.
Po kolei wszystko płynie
Bez szkody bliźniemu
I gdzieś w piersiach ze łzą ginie
Bez ujmy każdemu.

Londyn, Totenham, 1865

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

BARWNA TELEWIZJA

Na wystawie brytyjskiego przemysłu radiowego, t. zw. „Radiolympia", pokazana została m.in. telewizja w barwach. Efekty barwne osiąga się przez płyty z filtrami w kolorach czerwonym, niebieskim i zielonym, z których jedna obraca się w kamerze transmisyjnej, druga w odbiorniku. Na ekranie telewizyjnym „Radiolympii" ukazywały się bukiety kwiatów o żywych, naturalnych kolorach. Jest to jednak dopiero początek. Eksperci twierdzą, że minie dobrych kilka lat, zanim telewizja barwna wprowadzona będzie powszechnie w Wielkiej Brytanii.

Na wystawie ukazano wiele nowych modeli odbiorników zarówno radiowych jak telewizyjnych (aparaty te w druku oznaczone są literami T V).

NOWY SEZON MUZYCZNY W „ALBERT HALLU"

Sezon jesienny w londyńskim Albert Hallu zainaugurowany został koncertem, poświęconym Goethemu. W koncercie tym, który zgromadził tłumy publiczności, uczestniczyła wiedeńska orkiestra filharmoniczna pod batutą Wilhelma Furtwanglera, nadto Mary Jarred i chór męski BBC. Chór odśpiewał m. in. utwory Schuberta i Brahmsa. Orkiestra odegrała symfonię Beethovena nr. 7.

KONCERTY MAŁCUŻYŃSKIEGO

Recital szopenowski Małcużyńskiego w Londynie, w dniu 25 października, poprzedzony zostanie dwoma jego koncertami w Paryżu. Odbędą się one w dniach 17 i 22 października w Théatre National du Palais de Chaillot. Pierwszy poświęcony będzie wyłącznie twórczości Szopena, drugi obejmie utwory Francka, Beethovena, Szymanowskiego i Szopena. Czysty dochód z obu koncertów Małcużyński przeznacza na Polski Instytut Literacki w Paryżu (wydający, jak wiadomo, wspaniały miesięcznik „Kultura").

"SADLER'S WELLS BALLET" I EKSPORT BRYTYJSKI

Zespół znanego angielskiego baletu artystycznego Sadler's Wells, złożony z 34 tancerek, udał się do Nowego Jorku, skąd rozpoczyna czteromiesięczne tournée po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Członkinie zespołu pełnić będą podwójną rolę baletnic i — propagatorek eksportu brytyjskiego. Mianowicie czołowe brytyjskie domy mód i wytwórnie strojów kobiecych ofiarowały im pełne wyposażenie z tego zakresu, dostosowane indywidualnie do każdej z nich. Zadaniem baletnic będzie noszenie tych sukien w życiu towarzyskim, na przyjęciach i t.d. — i w ten sposób propagowanie brytyjskich mód kobiecych na terenie północno-amerykańskim.

Trudno ocenić, jakie stąd zyski osiągnie eksport brytyjski. W każdym razie przyjazdowi Sadler's Wells Ballet robiona jest na terenie amerykańskim wielka reklama.

NOWE BALETY FRANCUSKIE W LONDYNIE

W Princes Theatre w Londynie szereg przedstawień dały ostatnio Ballets des Champs Elysées, wystawiając dwa nowe balety: „La Rencontre" i „L'Amour et son Amour". Pierwszy z nich osnuty jest na baśni o Sfinksie i Edypie. Jest to balet w stylu Diagiliewa: twórcą jego jest Kochno, choreografem Lichine. Sfinksa tańczy 16-letnia piękna Leslie Caron.

„L'Amour et son Amour" jest pierwszym baletem produkcji Babilée'go, stanowiącym ilustrację choreograficzną do utworu muzycznego Cezara Francka „Psyche". Rolę Kupida odtwarza Babilée, rolę Psyche Nathalie Philippart. Oceny obu nowych baletów przez krytyków są umiarkowanie przychylne.

CHARAKTERYSTYKA PROUSTA

Znana pisarka francuska o rumuńskim nazwisku, ks. Marta Bibesco ogłosiła niedawno studium o Prouście, pisarzu, który — obok Joyce'a — dał literaturze współczesnej tak silny impuls w kierunku zainteresowania się podświadomym życiem psychicznym człowieka. Studium to p.t. „The Veiled Wanderer: Marcel Proust" ukazało się obecnie w tłumaczeniu angielskim, dokonanym przez Rolanda Ganta (Falcon Press cena 7-6). Książka zawiera m.in. szereg, niepublikowanych dotąd, listów Prousta.

NOWE BIOGRAFIE ANGIELSKIE

Niemal każdy tydzień przynosi pojawienie się paru nowych biografii czy charakterystyk pisarzy lub artystów, zwłaszcza z okresu wiktoriańskiego. Na pokolenie obecne okres ten — okres największej potęgi Anglii i największej stabilizacji wewnętrznej — wywiera pod wielu względami fascynujący urok. Do przeszłości należy gwałtowna anty-wiktoriańska reakcja lat po Pierwszej Wojnie Światowej.

Świeżo ukazała się monografia twórcy szkoły t. zw. prerafaelitów, Dante Gabriela Rossetti'ego, pt. „A Victorian Romantic" (Muller, cena 25 sh.). Autor, prof. Oswald Doughty opisuje szczegółowo życie prywatne tego czołowego przedstawiciela cyganerii artystycznej Londynu z drugiej połowy XIX wieku i jego otoczenie. Na krótko przed tym ukazała się na ten sam temat książka Mrs. Angeli p.t. „Dante Gabriel Rossetti: His Friends and Enemies".

Równocześnie pojawiła się nowa książka o przyjacielu Rossetti'ego, poecie Swinburne, który również w pewnym zakresie stał u kolebki ruchu prerafaelitów (Humphrey Hare: „Swinburne", Witherby, cena 15 sh.). Krytyk „Daily Telegraphu" Malcolm Muggeridge podkreśla, że w świetle tych biografii widać, iż ani Rossetti ani Swinburne nie przywiązywali wagi do jakiegoś społecznego aspektu, ruchu prerafaelickiego, choć Rossetti wciągnięty został przez Ruskina do wykładów w „Working Men's College".

KSIĄŻKA O ZDRAJCACH

Pisarka angielska Rebecca West, autorka książki o Serbii „Black Lamb and Grey Falcon", wydanej w roku 1940, ogłosiła obecnie nową rzecz p. t. „The Meaning of Treason" (Macmillan and Co, cena 15 sh.). Bohaterami książki są ludzie, którzy w ostatnim okresie uznani zostali za zdrajców W. Brytanii i zasądzeni: William Joyce, John Amery, Walter Purdy, Thomas Haller Cooper, Norman Baillie-Stewart i Allan Nunn May. Na tle przebiegu ich procesów autorka charakteryzuje ich psychologię i wpływy, jakim ulegali w ciągu życia — próbując w ten sposób znaleźć wyjaśnienie ich postępowania.

RELACJA WNUKA

Wnuk wybitnego poety angielskiego, Sir Charles Tennyson ogłosił książkę o dziadku swym p. t. „Alfred Tennyson" (Macmillan and Co, cena 30 sh). Książka rzuca wiele nowego światła na życie i pracę twórczą Tennysona.

NOWY PODRĘCZNIK GENETYKI

P. t. „The Elements of Genetics" pojawił się podręcznik, przedstawiający najnowsze wyniki badań z zakresu biologii i dziedziczenia (Allen and Unwin, cena 25 sh). Autorami książki są: dr C.D. Darlington i dr K. Mather. Książka jest ilustrowana.

Poeci pierwszej emigracji polskiej

(Dokończenie ze str. 5)

Jego wiersze nie należą do wielkiej poezji — świadczą jednak o wielkim guście literackim autora i o obcowaniu z utworami najlepszych poetów Anglii i Polski.

Trzecim poetą emigracji polskiej w Anglii „z rocznika 1811" jest Michał Budzyński (1811 — 1885), znany głównie ze swej działalności jako agent ks. Czartoryskiego oraz jako autor bardzo interesującego pamiętnika.

Budzyński, podobnie jak Koźmian, poznał dobrze literaturę angielską i miał dla niej wielkie zrozumienie, czego dowodem choćby jego przekład jednego z poematów Byrona („Childe Harold").

Do Anglii przybył w kwietniu 1837, z więzienia w Trieście i osiadł w Londynie, gdzie walczy z biedą, pracując zarobkowo jako robotnik przy budowie kolei. Po pewnym czasie los mu się uśmiechnął, bo został zaangażowany (z grupą kilku emigrantów) do przetłumaczenia dzieła o Kaukazie z języka rosyjskiego. Pod koniec 1838 opuścił Anglię. Pierwszy tomik swoich wierszy wydał w r. 1839 w Brukseli p.t. „Pierwiosnki". W większych utworach nie zdradza on, jako poeta, zbyt wielkiego talentu, natomiast drobne jego utwory są doskonałe, a zwłaszcza sonety, świadczące o umiejętnym naśladowaniu Mickiewicza.

Józef Jasnowski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

JAPONIA NA DRODZE KU KATOLICYZMOWI

Pod powyższym tytułem polska „Kronika Seraficka“, wydawana przez OO. Franciszkanów w Detroit w Ameryce drukuje własną korespondencję z „japońskiego Niepokalanowa“. — kompleksu zakładów misyjnych, prowadzonych w mieście Nagasaki w Japonii i w jego okolicy przez polskich OO. Franciszkanów, a założonych ongiś przez oświęcimskiego męczennika, Ojca Maksymiliana Kolbe, którego proces beatyfikacyjny właśnie się toczy w Padwie, Nagasaki i Warszawie.

Z korespondencji tej zamieszczamy następujące wyjątki:

„Gdy jedne narody prześladują wiarę katolicką, inne przyjmują ją z zapałem.

„Jednym z krajów, który zaczyna najgorliwiej garnąć się do Boga, jest Japonia. Nie jest to tylko czczy frazes, ale namacalna rzeczywistość. Mówi się nawet, że w niedalekiej przyszłości sam cesarz japoński z rodziną przejdzie na katolicyzm.“

„OO. Franciszkanie (polscy) zakładają już czwartą placówkę w Japonii...

Jedną z nich jest mała parafia w Akabane, miejscowości położonej w okolicy stołecznego miasta Tokyo“.

„Zaledwie minęło dwa miesiące od czasu, jak tam zajechali nasi, a już tam taki ruch jak w wielkiej parafii — pisze brat Romuald z Nagasaki, który odwiedził tę miejscowość.“

Do kaplicy masowo przychodzą poganie.

„Dziwne to są rzeczy i niejeden z nas pragnąłby widzieć tych modlących się pogan w kaplicy katolickiej. Ludzie, nieznający Boga i wiary, jeszcze nieochrzczeni, a tak się garną do katolicyzmu, że trudno podołać z nauczaniem — misjonarzom brak czasu, a przy tym okropna ciasnota w kaplicy. 400 dzieci pogańskich już umie modlić się z książeczek do nabożeństwa, wszystkie noszą na piersiach medaliki. O. Donat na 3 zmiany dziennie przeprowadza naukę katechizmu osób starszych. Inni, a zwłaszcza dzieci, niecierpliwie czekają na swoją kolejkę. Matki domagają się utworzenia przedszkola, młodzieńcy i dziewczęta proszą o założenie stowarzyszenia młodzieży katolickiej, by tym prędzej poznać Chrystusa i otrzymać Chrzest św., i by tym łatwiej oprzeć się zakusom elementów komunistycznych, które nie śpią i czynią wszystko, żeby przeszkodzić sprawie misyjnej, Bożej.

„Nie wierzyłem — pisze brat Romuald — gdy słyszałem, że w Tokyo i całej Japonii przyszedł czas chrystianizmu. Obecnie przekonałem się o tym na własne oczy. To więc nie puste gadanie... Należałoby tu przypomnieć słowa Ewangelii św.: „Żniwo wielkie, ale robotników mało“. Za mało jest w Japonii misjonarzy, za mało kaplic i kościołów...“

„Wizyta, jaką cesarz japoński złożył OO. Franciszkanom, nie była niespodzianką. Na nią zanosiło się już od dłuższego czasu. Przygotowania były tak rozległe i gruntowne, że miasto Nagasaki nawet pobudowało specjalną drogę do Niepokalanowa (klasztoru).

„W ostatniej jednak chwili cesarz zmienił plan: zamiast udać się do klasztoru w Nagasaki, odwiedził sierociniec w Omurze — w pobliżu Nagasaki. Trzeba zaznaczyć, że jest to druga skolei placówka OO. Franciszkanów w Japonii. Sierociniec ten powstał zaraz po wojnie i początkowo mieścił się w Nagasaki. Po pożarze w styczniu br. cały zakład przeniesiono na obecne miejsce. Składa się on z szeregu baraków, zajętych po wojsku japońskim przez Amerykanów — oddanych tymczasowo do dyspozycji OO. Franciszkanów. W sierocińcu tym przebywa ok. 100 sierot japońskich.

„Odwiedziny cesarza, choć prywatne, zamieniły się w ogromną manifestację urządzoną nie tylko przez sieroty i ludność sąsiednią, ale przez społeczeństwo całego miasta Nagasaki. Trudno tu opisywać rozmaitość scen i treści licznych przemówień, powitań, dostojność orszaku cesarskiego itp. W każdym razie było to coś wielkiego w dziejach Japonii. Cesarz, choć już od dawna po cichu sympatyzuje z katolicyzmem, przez odwiedziny Sierocińca Franciszkańskiego, okazał to na zewnątrz — wobec całego państwa i narodu.

„Brat Romuald wspominając o tej wizycie, m.in. pisze: „Nikt z uczestników nie zapomni łez, które co chwilę toczyły się po policzkach cesarza, z powodu licznych niespodzianek, jakie mu przygotowały sieroty...“

„Należy mieć nadzieję, że dusza cesarza japońskiego upominać się będzie dalej o swoje, aż wreszcie uwierzy on sam, jego dom i cały naród“.

Brat Romuald brał także udział w uroczystościach w Nagasaki, związanych z 400-leciem przybycia św. Franciszka Ksawerego do Japonii. Twierdzi on, że w uroczystościach w Nagasaki wzięło udział, nie licząc pogan, 30 tysięcy japońskich katolików, przy czym z samych wysp Goto przybyło ich 10 tysięcy. (Wyspy Goto są, jak wiadomo, zamieszkane przez ludność ochrzczoną przed kilku wiekami. Ludność ta, bez księży, pozostała wierna wierze katolickiej również i przez cały czas prześladowań).

Ludność katolicką w Japonii Br. Romuald oblicza narazie tylko na 100 tysięcy.

W SETNĄ ROCZNICĘ

Setną rocznicę śmierci Fryderyka Chopina obchodzi cały kulturalny świat niezwykle uroczyście. W społeczeństwie polskim w tym kraju z inicjatywą uczczenia tej rocznicy wystąpiła Samopomoc Lotnicza. Dzięki jej staraniom, pianista światowej sławy, uczeń Paderewskiego Witold Małcużyński zgodził się na danie jedynego swego koncertu w Londynie w tym roku, poświęconego całkowicie utworom Chopina. Dochód z koncertu przeznaczony jest na akcję charytatywną Samopomocy Lotniczej.

Małcużyński, znakomity wykonawca utworu Chopina, laureat Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w roku 1937, nie tylko że uczci stuletnią rocznicę śmierci jednego z największych ludzi, jakich wydała ziemia polska, ale też przyjdzie równocześnie z pomocą jedynej organizacji lotniczej na uchodźctwie.

O samym Małcużyńskim nie potrzebujemy wiele pisać. Nie potrzebuje on tego co pospolicie przyjęto nazywać „reklamą“. Niepospolity jego talent, szczególnie jeśli chodzi o in erpretację utworów Chopina, uczynił jego imię sławnym na obydwu półkulach. O ostatnich jego występach w Ameryce Północnej i Południowej oraz w Australii, gdzie obecnie przebywa i gdzie dał już ponad 40 koncertów, mówią znawcy muzyki oraz poważna prasa fachowa z największym uznaniem.

Pragniemy jedynie jeszcze raz podkreślić, że zaszczyt jaki spotkał Samopomoc Lotniczą należy przypisywać wyłącznie celowi na jaki dochód z koncertu został przeznaczony. Nie tylko bowiem osiągnięcia lotnictwa polskiego w Drugiej Wojnie Światowej, ale i uznanie dla działalności jaką prowadzi jedyna organizacja skupiającą większość lotników polskich na uchodźctwie skłoniły wielkiego muzyka do ofiarowania swych bezinteresownych usług.

Mamy nadzieję, że społeczeństwo polskie w tym kraju, a szczególnie ci, którzy mieszkają w Londynie potraktują ten koncert właśnie z tego punktu widzenia. Niech więc jaknajliczniejsza obecność Polaków na koncercie będzie nie tylko dowodem hołdu dla pamięci Chopina, ale też i dowodem uznania dla dokonań lotnictwa polskiego oraz chęci pomocy tym lotnikom polskim, którzy żyją, a następnie ich rodzinom w kraju i na uchodźctwie.

Na program koncertu, który odbędzie się we wtorek, dnia 25 października o godz. 7.30 w Royal Albert Hall w Londynie, złożą się następujące utwory Chopina:

1. — **Polonez Op. 44, Fis-moll**
2. — **Nokturn,**
3. — **Fantazja, Op. 49, F-moll**
4. — **Sonata, Op. 35, B-moll (z marszem żałobnym)**
5. — **Dwa mazurki,**
6. — **Etiuda,**
7. — **Scherzo, Op. 31, Nr. 2, B-moll.**

Bilety w cenie 21/-, 15/-, 10/6, 7/6, 5/-, 3/6, oraz galeria 2/6 można nabywać w Royal Albert Hall (Tel. KEN 8212), Chappell's Box Office, 50 New Bond Street (Tel. MAY 7600), w innych agencjach biletowych oraz w Samopomocy Lotniczej, 14 Collingham Gdns., London, S.W,5 (Tel.: FLA 1085, 1086).

Z LISTÓW DO REDAKCJI

„THERE WAS A LAND“

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W czwartek, 15-go b.m. byłam na próbnym pokazie filmu p.t. „There was a Land“, skomponowanego i wyświetlonego staraniem Anglo-Polish Catholic Association w Londynie.

Celem filmu jest zaznajomienie społeczeństwa angielskiego z Polską: Jej historią i charakterem kraju.

Przyjaciołom naszym, katolikom angielskim, którzy niewątpliwie działali w najlepszej wierze, należy się od nas szczere podziękowanie za dobre chęci.

Chciałabym jednak na temat samego filmu powiedzieć kilka uwag.

Przedstawienie zaczyna się od hymnu narodowego i przemówienia J. Em. Kard. Griffina — kończy na przemówieniu Kard. Griffina i kilku akordach hymnu narodowego. To mu nadaje charakter oficjalny i uroczysty.

Część środkowa, 12-o minutowa jest szeregiem obrazów krajoznawczych i historycznych z odpowiednim komentarzem mówionym. Niestety parodia to naszej historii i parodia rzeczywistości, którą pamiętamy i za którą tęsknimy.

Nieszczęśliwy dobór fragmentów daje obraz Polski brzydkiej, brudnej i niekulturalnej; pomija wszystkie wartości, któreby człowiek Zachodu mógł docenić. Brudne lepianki poleskie, najprymitywniejsze sposoby gospodarki, „kocie łby“ i rudery bombardowanych przedmieść Warszawy — to obrazki mające widzowi służyć za podstawę do wyrobienia sobie pojęcia o naszym Kraju, narodzie, stolicy. Dlaczego nie pokazać mu porządnych gospodarstw wiejskich, rozległych pól zboża, ziemniaków czy buraków, i miast naszych czystych, pełnych pamiątek historycznych i nowoczesnych gmachów szkół, szpitali itp.? Dlaczego w historii nie ma ani słowa o czasach naszej świetności, o wieku złotym? Kopernik nawet nie wymieniony wśród wielkich ludzi.

Zdaniem moim film w tej postaci wyświetlany być nie może. Rzeczą polskich emigrantów jest dokonanie bardzo starannego wyboru takich obrazów i komentarzy, które by dały krótką ale prawdziwą charakterystykę naszego narodu i kraju. Jeżeli zaś dostarczenie odpowiednich materiałów jest ze względów praktycznych niemożliwe — należy przekonać organizatorów, że z tej propagandy trzeba zrezygnować, gdyż jest nie tylko niepożyteczna, ale wręcz szkodliwa.

Polska jest własnością każdego Polaka i każdy Polak ma prawo i obowiązek dopilnować, by nie była lekceważona przez obcych.

Trzeba, żeby Anglicy, którzy nas goszczą, szanowali nas i liczyli się z nami jako przedstawicielami narodu o wielkiej, czcigodnej przeszłości i o rzetelnej współczesnej kulturze.

Trzeba, żeby Polacy, którzy się z Angielkami pożenili, mogli żonom pokazać, że mają za czym tęsknić i że mają słuszność wychowując swe dzieci na Polaków.

Trzeba, żeby dzieci nasze najmłodsze, które się poza Polską urodziły albo Jej nie pamiętają, mogły zobaczyć Jej obraz taki, by być z Ojczyzny dumnymi, a nie wstydzić się Jej przed kolegami.

Film „There was a Land“ został obecnie wyświetlony próbnie, dla małego grona zaproszonych gości. Chciałabym, żeby te moje uwagi przyczyniły się do zainteresowania się tą sprawą osób kompetentnych i ponownego rozpatrzenia jej zanim obraz ukaże się, jak leży w projekcie, na ekranie dla szerokiej publiczności.

Pozostaję z poważaniem

Maria z Suchorzewskich Branson

7, Neverton Place

Dn. 25.9.1949. London, S. W.,5

WIĘC JAK?

30-ty września, 1949.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwalam sobie skreślić parę słów na temat recenzji z II recitalu fortepianowego prof. Turczyńskiego, która ukazała się w ŻYCIU z dn. 25 b.m.

Chodzi mi tu nie o krytykę, słuszną czy niesłuszną, gry prof. Turczyńskiego; pragnę natomiast zwrócić uwagę na niektóre wręcz uderzające uwagi p. Hierowskiego na temat gry koncertowej.

W żadnej poważnej recenzji muzycznej nie do pomyślenia byłoby takie powiedzenie jak np. „niech sobie pianista od czasu do czasu pofałszuje, jeżeli w innych partiach nadrobi... itp. Czytając tego rodzaju uwagi, dochodzę do wniosku, że najwidoczniej p. Hierowski, nie będąc muzykiem, nie zdaje sobie sprawy z wymagań gry koncertowej na poziomie Wigmore Hall'u. Niefortunne pomyłki prof Turczyńskiego nie dadzą się tak łatwo „nadrobić“ bezbłędnym wykonaniem innych utworów. Pianistom europejskiej sławy „fałszować od czasu do czasu“ i „nadrabiać“ nie wolno.

Pozatem jestem ciekawy co p. Hierowski rozumie przez słowo „partia“ — w muzyce bowiem przyjęte jest używać słowo partia jako określenie wkładu jednego instrumentu lub głosu ludzkiego w utworach zespołowych, i to od samego początku aż do końca utworu.

Wreszcie wydaje mi się, że czytelnik, czytając recenzję p. Hierowskiego, nie jest w stanie zorientować się, jak ostatecznie wypadł recital prof. Turczyńskiego — recenzja bowiem jest tylko przeplatanką ironicznych uwag i słodkich komplementów.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

Stanisław Jerzy Krubski,

17, Briarbank Road,

London, W. 13.

*

P. Krubski najwidoczniej jest w poszukiwaniu skończonego ideału, i co więcej, zdaje mi się, ma on nadzieję, że taki ideał, wyprany ze skaz istnieje. Jeszcze nie spotkałem muzyka ani nie słyszałem o takim, który by grał bez zarzutu. Dlatego wolę korzystać z momentów, które potrafią mi dać zadowolenie, niżeli osądzić artystę według jego słabszych momentów i w ten sposób stracić wszelką przyjemność. „Partia“, it.d. P, Krubski ma znów „idealnie“ rację, ale ponieważ celowo unikam wyrażeń technicznych, użyłem tego określenia w sensie także mu nadawanym w muzyce: t.j. „część“.

J. HIEROWSKI

GRAFIKA RELIGIJNA

LELI PAWLIKOWSKIEJ

Dla tych, którzy wolą mieć na ścianie obrazy święte w grafice oryginalnej, niż w reprodukcjach

V E R I T A S

MA NA SKŁADZIE

oryginalne linoryty kolorowe

(w oprawie ze sztywnego celofanu)

znanej artystki

LELI PAWLIKOWSKIEJ

MIŁOSIERDZIE BOŻE

(16 x 29 cm) cena 6/-

oraz (w małej ilości egzemplarzy)

KRÓLOWA KORONY POLSKIEJ

(25 x 32 cm) 26/-

MATKA BOSKA KARMIĄCA

(23 x 26 cm) 22/-

Ceny włącznie z kosztami przesyłki.

Veritas Foundation Publication Centre, 12, Praed Mews, London, W.2.

CZYM JEST RÓŻANIEC?

Jaki jest jego związek z całością życia katolika w świecie dzisiejszym i naszym stosunkiem do Boga? Dlaczego papieże, święci, geniusze i ludzie prości, świeccy i duchowni przypisują tej właśnie formie modlitwy tak wielkie znaczenie? Na te i inne pytania odpowiada książka, wydana w kraju przez Milicję Niepokalanej:

JAN ARCHITA

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ ŻYCIA

ROZWAŻANIA RÓŻAŃCOWE

Stron 128

Cena 2/6 wraz z przesyłką

Dostarcza:

Veritas Found. Publ. Centre

12, Praed Mews, London, W.2.

150 różnych broszurek — za 7/3 wraz z przesyłką

POPULARNA BIBLIOTECZKA RELIGIJNA

Posiadamy na składzie komplety po 150 broszurek (8 stronicowych), zawierających popularne opracowania najbardziej aktualnych zagadnień z działów ogólno-społecznego, moralnego, apologetycznego i ascetycznego. Każda broszurka wydana na doskonałym satynowanym papierze, ozdobiona jest ilustracją, związaną z omawianym zagadnieniem.

Zamawiający cały komplet znajduje jasne i przystępne omówienie 150 niezmiernie ważnych i aktualnych tematów, które wciąż przewijają się w rozmowach, w prasie czy w książkach.

W celu umożliwienia nabycia Kompletu jak najszerszym rzeszom, cena została skalkulowana odpowiednio nisko i wynosi za całość

7 sh i 3 d łącznie z przesyłką

„MAŁY MODLITEWNIK“

Msza św., najważniejsze nabożeństwa roku kościelnego i około **140 pieśni religijnych!** Cena: **4/6 plus 6 d. za porto**

Rodzicom i WW. Księżom polecamy:

36 Pogadanek religijnych

(Pogadanki o życiu i nauce Jezusa Chrystusa, pacjerz dziecka, pogadanki luźne na temat świąt i uroczystości)

Książka bardzo pomocna w nauczaniu religii dzieci do lat 10 Stron 162, **cena 3/6 plus 6 d.** za porto

Veritas Found. Publ. Centre, 12 Praed Mews, London W.2.

X. Dr. Alfred Wróblewski

KWIATY z OGRODÓW PAPIEŻY

Jest to zbiór kilkudziesięciu krótkich rozdziałów przynoszących mnóstwo niezmiernie interesujących szczegółów, obrazów i doskonałych anegdot o papieżach i Rzymie papieskim od czasów najdawniejszych aż do Piusa XI.

Książka, dużego formatu, pięknie wydana, jest bogato ilustrowana

Stron 239

Cena 4 sh. wraz z przesyłką.

Dostarcza: **Veritas Found. Publ. Centre, 12 Praed Mews, London, W 2.**

ZAUFANIE JEST PODSTAWĄ INTERESU.

PACZKI DO POLSKI wysyła SZYBKO i PEWNIE

P. & B. SUPPLY CENTRE Ltd.

56/II. Draycott Place, London S.W.3 Tel: KEN 2489

DZIEJE POWIETRZNEJ BRYGADY

MUSZĘ wyznać, że zabierałem się do przeglądania tej książki*) z pewnym ociąganiem. Jeszcze jedna z licznych już dziś monografii wojennych, a w dodatku dzieło zbiorowe, fragmenty wspomnień stu kilkudziesięciu osób, żołnierzy brygady spadochronowej... Była to jakgdyby zapowiedź złej literatury i chaotycznej treści. Lecz już po przerzuceniu pierwszych kart zainteresowanie zaczęło rosnąć, a treść, początkowo sucha, zaczęła nabierać barw, grać ruchem i życiem, pochłaniać swą bezpośredniością i dramatyczną prostotą. Każde z tych krótkich, najwyżej parostronicowych opowiadań, to jakby wycinek z niezwykłej, pełnej przygód powieści; w niemal każdym tkwi materiał na fabułę, którą pióro romansopisarza mogłoby rozwinąć w setki przykuwających uwagę stron. Wszystko razem, umiejętnie uporządkowane, daje całość mocno skonstruowaną i przejrzystą. Książkę się czyta jak romans batalistyczny okresu Przyborowskiego i Gąsiorowskiego. Tylko w romansie tym nie ma amarantowych mundurów, koni i lanc ułańskich; są battledress'y, jeep'y i tommygun'y.

Styl tych opowiadań prosty, żołnierski, niemal telegraficzny. Wiele z nich świadczy o darze narracyjnym autorów, niektóre skrzą się iskrami żołnierskiego humoru, w innych przebija czasem nuta goryczy, żalu lub rozczarowania. „Gdy myślę teraz o tych wszystkich przejściach" — pisze plutonowy F.J. — „to dochodzę do wniosku, że wszystko to było niepotrzebne. Może później zmienię swoje zdanie, teraz jednak uważam, że lepiej było zostać w Polsce. W praktyce okazało się bowiem, że biłem się za Francję i Anglię". Czy wielu kolegów plutonowego F.J. myśli tak samo jak on? Trudno im brać za złe, jeżeli tak myślą. Zgłaszali się do spadochroniarzy, bo im mówiono, że to najkrótsza droga powrotu do Polski. Wierzyli w ten powrót; bijąc się na polach Holandii, myśleli o przyjściu z pomocą płonącej Warszawie. Pragnienie powrotu, tęsnota za krajem wiją się czerwoną nicią przez stronice książki, tłumione czasem rubasznym żartem lub żołnierskim zaklęciem. „W Anglii zgłosiłem się na ochotnika do spadochroniarzy" — pisze więzień Mirandy, plutonowy E.A. — „Błąkałem sią tyle po świecie, chciałem więc tą najkrótszą drogą wrócić do Polski. Najkrótszą, cholera!"

Nie było dane plutonowemu E.A. spaść na polskie pola zrzutem spadochronowym, droga do Polski okazała się drogą daleką i ciernistą. Nie zdołały jej skrócić wysiłki i poświęcenia powietrznych żołnierzy ani złożona przez nich szczodrze ofiara krwi. Była to przecież droga jedyna dla tych ludzi, co nosili w swych sercach wizję wolnej ojczyzny — poprzez zakątki Szkocji, krwawy chrzest bojowy pod Arnhem, służbę garnizonową w Niemczech i PKPR. Nie była ona daremna, choć dziś, po czterech latach, nie widać jeszcze jej końca. Kto jednak wie, ile już uszliśmy na tej drodze, niesieni potokiem wydarzeń, i czy koniec jej nie jest już bliższy, niż nam, popadłym w pesymizm, dzisiaj się wydaje. Plutonowy F.J. zmieni jeszcze swe zdanie.

Pierwsza część książki — DROGA — to ekspozycja opowieści, opisująca długie, pełne przygód wędrówki przyszłych żołnierzy brygady spadochronowej przez zielone granice, góry, lasy i śniegi, najprzód do Francji a po klęsce francuskiej — do Wielkiej Brytanii. Tam, w jakimś zakątku Szkocji, powstają zaczątki brygady i rozpoczyna się szkolenie, opisane w części drugiej książki — PRACA. Część tę wypełniają opisy ćwiczeń przygotowawczych, prób i samej techniki skakania ze spadochronem. Ile trzeba było determinacji, aby się zdecydować na pierwszy skok! Potem szło już łatwiej. Przezwyciężona wysiłkiem woli, malała obawa próżni, rosła ufność, że niesiony przez skoczka na plecach bezkształtny tobół rozwinie się we właściwej chwili w biały grzyb spadochronu, chroniąc go od zmiażdżenia w zetknięciu z ziemią. Ile jednak razy nie rozwijał się w porę lub rozwijał się wadliwie!

Lecz oto przeszliśmy szkolenie i wchodzimy w fazę następną: POGOTOWIE, połączone z wykonywaniem próbnych zadań bojowych. Brygada gotuje się do akcji, nerwy targa wyczekiwanie na rozkaz odlotu, napięcie wzrasta. Wreszcie punkt kulminacyjny — katharsis tej epopei wojska powietrznego — BITWA pod Arnhem-Driel, jedna z najkrwawszych bitew w końcowym okresie wojny. Brygada ponosi w niej duże straty: ginie 23 proc. oficerów i 22 proc. szeregowych. Spoczywają snem wiecznym na północnym brzegu Renu, a dzieci holenderskie ozdabiają ich mogiły w rocznicę bitwy biało-czerwonym kwieciem.

Potem już tylko krótka historia pobytu i pracy w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec i opis rozwiązania brygady. Wśród wyrazów uznania i pochwał brytyjskich generałów brygada przestaje istnieć, w maju 1947 r. ostatnie jej oddziały wracają do Wielkiej Brytanii. Między liniami tego suchego, sporządzonego stylem raportu wojskowego, opisu mieści się może najwięcej goryczy i zawiedzionych nadziei...

Strona graficzna książki nadzwyczaj staranna, druk wzorowy. Liczne ilustracje i mapa bitwy pod Arnhem uzupełniają ten jedyny w swoim rodzaju pamiętnik wojenny.

GLOSSATOR

*) **Polscy Spadochroniarze. Pamiętnik żołnierzy. Nakładem Funduszu Wydawniczego Plutonu Opieki i Samodzielnej Brygady Spadochronowej. 1949. Str. 422. Cena 20/-. Do nabycia w „Veritas", 12, Praed Mews, London, W.2.**

STARE KLISZE — NOWE CZASY

OBOK dewaluacji walut, o której tyle się dzisiaj mowi i pisze, świat bez żadnej reakcji toleruje coraz dalej postępującą dewaluację pojęć związanych z prawem międzynarodowym. Tak jak nowoczesny pieniądz jest przystosowany w swej zawartości do złota, tak samo reguły, na których opiera się współżycie narodów, przystosowane być powinny do pojęć rycerskości, moralności i sprawiedliwości. Jeżeli inflacja pieniężna prowadzi do dewaluacji, również inflacja słów kłamliwych i fałszywych doprowadzić musiała do dewaluacji norm stosowanych w prawie międzynarodowym.

Nikt dzisiaj przy stosowaniu tego prawa w obronie minimum pewnej etyki nie może już na zachodzie wystąpić. Bo mocarstwa anglo-saskie mają na sumieniu decyzje powzięte za plecami sojuszniczej Polski w Teheranie i Jałcie. Było to ni mniej ni więcej jak zakonspirowany wówczas współudział w „pośredniej agresji" zorganizowanej przez Kreml przeciw Polsce. Można siłę kraju złamać atakując go zbrojnie, można ten sam cel osiągnąć za pomocą zamachu wewnętrznego. Klasycznymi wzorami takich wewnętrznych przewrotów dokonanych na rzecz obcych mocarstw i przy ich współudziale pozostaną: objęcie władzy przez Hachę na żądanie Hitlera, komunistyczny przewrót w Czechach w 1948 roku i uchwały jałtańskie. Hitler pierwszy nauczył jak się to robi, a francuskie ministerstwo spraw zagranicznych nazwało to wówczas słusznie „une agression indirecte".

Przewrót w Polsce był Rosji potrzebny dla bezpiecznego usadowienia się na Łabie i uzyskania połowy terytorium Polski. Czynny udział mocarstw zachodnich w dokonanym gwałcie i danie sankcyj dla rozbioru Polski wymagało odpowiedniej dewaluacji norm prawa międzynarodowego. Tylko świadomym odstąpieniem od zasad moralności w współżyciu narodów wytłumaczyć można było pisma skierowane wówczas przez rządy W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych do ambasadorów Rzeczypospolitej w Londynie i Waszyngtonie.

Biorę jako przykład list p. James Byrnes'a do amb. Ciechanowskiego z lipca 1945 r. Na wstępie przytacza w nim deklarację prezydenta Stanów Zjedn. z dnia 5 lipca 1945 roku, w której znajdujemy słowa: „Z wielkim zadowoleniem zawiadamiam, że rząd St. Zjedn. nawiązał dziś o 7 rano stosunki dyplomatyczne z prowizorycznym Polskim Rządem Jedności Narodowej ostatnio utworzonym w Warszawie. Ukonstytuowanie się tego rządu jest pierwszym i ważnym zastosowaniem decyzji dotyczących Polski, powziętych w Jałcie 11 lutego 1945 r.". Bez wiedzy legalnego rządu polskiego, przy którym akredytowany był ambasador St. Zjedn. doszło do „powzięcia decyzji w sprawie Polski". Kosztem sojuszniczego kraju, którego wojsko walczyło wówczas obok armii angielskiej i amerykańskiej regulowano pretensje terytorialne Stalina. Opór sojuszniczej Polski złamano drogą współudziału w przewrocie wewnętrznym zorganizowanym przez obce mocarstwo politycznie i terytorialnie zainteresowane w obezwładnieniu Polski.

* * *

DLACZEGO to wszystko przypominam? Bo na tle tych rozważań i rzucającej się w oczy analogii, lepiej zrozumiemy argumentację zawartą w innej nocie bardzo świeżej daty. Została ona odczytana w dniu 3 października b.r. p. Werskowowi sowieckiemu Charge d'affaires w Kantonie przez p. Yen, ministra spraw zagranicznych chińskiego rządu Narodowego w związku z otrzymaną wiadomością, że Rosja uznała rząd komunistyczny w Pekinie: „To uznanie było, mówi nota nie tylko aktem agresji przeciwko Chinom, ale również zagrożeniem pokoju i bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie. Rosja nie tylko podarła w kawałki traktat z Chinami z 1945 r., ale popełniła akt sprzeczny z uznanemi zasadami międzynarodowego prawa i sprawiedliwości. To, że reżym w Pekinie jest narzędziem Sowietów, staje się obecnie jasne dla całego świata. Jest to rząd marionetek narzucony narodowi przemocą z pogwałceniem jego woli, a ideologia tego rządu jest obca chińskiej cywilizacji i chińskiemu wzorowi życia".

Odczytując ten tekst, mówimy sobie, przecież to wszystko miało już kiedyś miejsce w okolicznościach nam dobrze znanych a o ile bardziej oburzających.

NOTATKI MUZYCZNE

Setną rocznicę śmierci Chopina, czci cały świat muzyczny. Prawie wszyscy najwięksi pianiści biorą czy wezmą udział w tym czy innym koncercie.

Nasz Małcużyński odegra utwory Chopina w Albert Hallu 25-go października. Z tym większą przyjemnością wspominam ten koncert że jest organizowany przez Polaków, a mianowicie **Samopomoc Lotniczą**. Miejmy nadzieję, że to tylko początek ożywienia muzycznego wśród naszych rodaków.

* * *

Polacy z „tamtej strony żelaznej kurtyny", a mianowicie Polskie Towarzystwo Kulturalne, urządza drugi koncert Chopinowski w Albert Hallu, 17-go października, dokładnie w sto lat od śmierci mistrza. Solistą będzie słynny pianista francuski, Casedesus. Koncert oznacza się wielką przystępnością w cenach: bilety są tylko po 2-6 i 3-6. Chwalebny pomysł, więc miejmy nadzieję, że nie będzie popsuty zabawą w politykę.

* * *

Obchody rocznicowe zajmą jednak najwięcej czasu Stanisławowi Niedzielskiemu. Jak już pisałem, jest to pianista dużej klasy, który cudownie potrafi się przystosować do danego stylu. W niedzielę, 9-go października Niedzielski dał recital w Royal Opera House (Covent Garden). Polacy w Glasgowie, Edynburgu i Birmingham mogli czy też będą mogli usłyszeć go w parę dni potem. Później Niedzielski wyjeżdża z Anglii na objazd Zachodniej Europy.

* * *

Chór Akademicki i Polskie Towarzystwo Śpiewacze urządzają festival pieśni i tańców polskich w Chelsea Town Hall 7-go listopada. Bardzo byłbym zdziwiony, gdyby wszystkie bilety nie zostały wyprzedane. Bo jeżeli pieśń i taniec polski Polaków nie pociągnie, to, czy nie możnaby powiedzieć w takim wypadku, że staje się nam zupełnie obojętna nasza kultura narodowa?

W następnym numerze chciałbym zająć się szerzej tymi dwoma chórami.

* * *

To narazie wszystko z polskich wydarzeń muzycznych na najbliższy okres. Nie wspomniałem o paru innych bardzo ważnych koncertach Chopinowskich, głównie dlatego, że odbędą się przed wyjściem tego numeru.

Ale sezon muzyczny w Londynie jest w pełni. Obecnie gości Wiedeńska Orkiestra Filharmoniczna pod batutą Furtwanglera. Pierwszy koncert nie był jednak tak wielkim sukcesem, jakiego się spodziewano Nie! Wiele brwi podnosiło się na różne dziwostki orkiestry. Najwspanialszą rzeczą w orkiestrze są jednak nadal smyczki. Bardzo interesująco wypadł występ specjalnego zespołu tej orkiestry, który po południu w niedzielę 2-go bm. wykonał septet Es-dur Beethovena i oktet F-dur Schuberta.

* * *

Wielkie nadzieje pokładano w nowej angielskiej operze „The Olympians". Słowa napisał słynny literat Priestley, muzyka Blissa Opera angielska znajduje się właściwie w stanie błogiego spoczynku i tylko od czasu do czasu budzi się, dając nieraz bardzo ciekawe rezultaty. Najciekawszym rezultatem „The Olympians" jest, że Bliss nareszcie znalazł swój „metier". Opera jednak cierpi na rozwlekłość, grzech i kompozytora i librecisty, który nie całkiem zdaje sobie sprawę, iż słowa się dłużej śpiewa aniżeli czyta.

* * *

Każdy powinien znaleźć sobie coś, co mu się najbardziej podoba w obecnym sezonie. Koncerty niedzielne Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej zawierają wszystko, od fug Bacha do walców Straussa. Miłośnicy nowoczesnych kompozytorów znajdą ładny wybór w programach Filharmonia Orchestra.

Royal Choral Society właśnie ogłosiło swój program na rok 1949/50, zawierający aż trzy wykonania „Mesjasza" Händla.

* * *

Obecny system stypendialny i pomocy społecznej studentom w dużym stopniu bezboleśnie wycina młodzieży kręgosłup. To też przyjemnie od czasu do czasu spotkać ludzi z odwagą i determinacją dawnej, starej szkoły swobody. Obok Trafalgar Square co sobotę dwu studentów angielskich daje uliczne koncerty muzyki pięknej. Z pieniędzy zebranych i zarobków własnych, ograniczonych brakiem czasu, utrzymują się i kształcą. Przechodnie nie skąpią im datków, czasem rzucając nawet funtówkę! — Ci studenci zasługują na sukces w przyszłości.

J. Hierowski

POLSCY SPADOCHRONIARZE

Jest to okazale wydany tom, na dobrym papierze, z licznymi ilustracjami, pamiętników żołnierzy

POLSKIEJ BRYGADY SPADOCHRONOWEJ

„Każde z tych krótkich, najwyżej parostronicowych opowiadań, to jakby wycinek z niezwykłej, pełnej przygód powieści".

Jedna z najpiękniej wydanych i najbardziej interesujących książek na emigracji.

Stron 422. **Cena 20/-.**

Skład główny w **Veritas Foundation Publication Centre, 12, Praed Mews, London, W.2.**

Do przesyłki pocztowej dolicza się 6 d. porto.

DWA ZNAKOMITE DZIEŁA:

X. Dr Józef Umiński

HISTORIA KOŚCIOŁA

Wydanie III, przejrzane i poprawione. Opole, 1949

TOM I

(Do wystąpienie Lutra)

NAJLEPSZE OPRACOWANIE W JĘZYKU POLSKIM

Stron 558 dużego formatu **Cena 33/2** sh wraz z przesyłką

*

Zdzisław Kaczmarczyk

MONARCHIA KAZIMIERZA WIELKIEGO

ORGANIZACJA KOŚCIOŁA — SZTUKA — NAUKA

Stron 328 dużego formatu **Cena 21/8** sh wraz z przesyłką

Dostarcza: **VERITAS FOUND. PUBL. CENTRE, 12 PRAED MEWS LONDON, W.2.**

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres Redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: **AMB 6879.** Drukarnia: **PAD 9734.** Godziny przyjęć w Redakcji: **Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3 — 4 po południu.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie26 sh.** **Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed", wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie firma **The Carlton Berry Co Ltd.,** Grand Builgings, Trafalgar Sq., W.C. 2. Tel: ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.